CENA 30 GR.

# NARÓD i PAŃSTWO
TYGODNIK

ROK II. WARSZAWA, 17 Stycznia 1937 R. NR. 3

Tadeusz Kopeć
Poseł na Sejm R. P.

# Problemy najbliższego okresu

**Z przemówienia wygłoszonego na Komisji Budżetowej Sejmu w dniu 13.I. 1937 r.**

Charakterystyczną rzeczą jest, że na przestrzeni całego okresu niepodległego Państwa Polskiego, pewne problemy nasuwają się jako stałe, niezmienne — i mimo upływu lat pozostają niezałatwione.

Do takich zagadnień należy przede wszystkim sprawa **przekreślenia w administracji państwowej granic zaborczych.** Ze strony reprezentantów różnych ugrupowań społecznych i politycznych od osiemnastu lat podnoszona jest konieczność usunięcia wbitych przez zaborcę słupów granicznych pomiędzy poszczególnymi ziemiami R. P. Zagadnienie to poruszali posłowie, którzy potem zostawali ministrami, uznawali ministrowie, którzy ponownie zostawali posłami — nie mniej sprawa nie posunęła się naprzód. A przecież wszystkie warunki są już dziś po temu, aby wobec daleko posuniętej unifikacji prawnej pomiędzy dzielnicami, dalej wobec gospodarczego zwierania się dotychczas rozdzielonych terytoriów w jedną całość, wobec absurdalnych niedogodności, jakie na skutek przestarzałego podziału administracyjnego ponosi społeczeństwo, a wreszcie i przede wszystkim, ze względu na przyświecający wszystkim naszym poczynaniom naczelny postulat wzmocnienia obronności kraju, nowy administracyjny podział Państwa został jak najszybciej przeprowadzony. Chciałbym tu tylko podkreślić, że sprawa dojrzała do załatwienia w całości. Załatwienia fragmentaryczne, tego rodzaju jak wniesienie do Sejmu projektu ustawy o województwie stołecznym, nie mogą być uważane za krok naprzód, są one raczej zbyteczną komplikacją całości.

Do zakresu działalności Ministerstwa Spraw Wewnętrznych należy cały kompleks **zagadnień narodowościowych.** Z dużym zainteresowaniem obserwujemy wszyscy układanie się normalnych stosunków pomiędzy ludnością ukraińską i ludnością polską na terenie województw wschodnich. Sądzę jednak, że nie należy się w tym dopatrywać jakiegoś układu ukraińsko-polskiego. Jesteśmy obywatelami jednego Państwa. Tu nie ma mowy o układach, a jedynie o zgodnym współżyciu obu narodowości w ramach istniejącego w Polsce ustawodawstwa, które zawsze cechowała daleko idąca polska tolerancja. To też zarzuty i ataki, podnoszone ze strony reprezentantów ludności ukraińskiej, moim zdaniem, mogą dotyczyć jedynie i wyłącznie sprawności działania administracji, sprawności, co do której w różnych dziedzinach życia można mieć takie czy inne zastrzeżenia, co jednak nie uprawnia do generalizowania tych zastrzeżeń i robienia z tego rzekomego nacisku na ludność ukraińską. Wszakże Ukraińcom, jako obywatelom Państwa Polskiego, dzieje się wcale nieźle. Mają oni tutaj możność rozwoju swych wartości kulturalnych i narodowych daleko większą, niż w każdym innym państwie, w którym znajdują się odłamy ich ludności. O tym przedstawiciele parlamentarni społeczeństwa ukraińskiego zapominać nie powinni.

Z dużym natomiast niepokojem obserwujemy objawy defetystyczne wśród społeczeństwa polskiego na ziemiach południowo - wschodnich. Wiemy aż nadto dobrze, że ludność polska nie wykazuje w tej chwili na tych terenach dostatecznego zdyscyplinowania, dostatecznej energii, ekspansji i dynamiki. I to jest niedobrze. Normalizacja bowiem stosunków współżycia ludności ukraińskiej i polskiej, pełne wykonywanie istniejących ustaw, nie może w niczym umniejszać dynamiki realnych warunków i organizowania się ludności polskiej, albowiem stan rzeczy od wielu wieków istniejący na Ziemi Czerwińskiej znamionowała rywalizacja kulturalna obu narodowości.

W odmienny nieco sposób, niżeli zagadnienie od wieków współżyjącej z Narodem Polskim w kilku województwach wschodnich ludności ukraińskiej, musimy traktować te mniejszości narodowe, których istnienie na terenie ziemi polskiej jest wynikiem eksterytorialnej polityki zaborczej, które na naszym terenie stanowią ludność napływową, nasłaną i których osiedlenie niejednokrotnie okupione zostało wyzuciem rodzin polskich z ich ojczystej ziemi i ich warsztatów pracy. Mam tu na myśli malejącą ilościowo ludność niemiecką.

Na tym odcinku z najwyższym oburzeniem konstatujemy stałą dywersyjną działalność obcych czynników, które utrudniają znormalizowanie się współżycia mniejszości niemieckiej z większością polską. Nie możemy zrozumieć tolerowania przez władze administracyjne na terenie województw zachodnich R. P. przenoszenia ob-

cych form organizacyjno-politycznych, o-znak, sztandarów i haseł, które nic wspólnego nie mają z życiem kulturalnym mniejszości, a które są podstawą do działania i rozwoju obcych agentur na terenie Państwa Polskiego.

W tej tolerancji szukać należy przyczyny powstawania na ziemiach zachodnich tego rodzaju organizacyj, jak „Die schwarze Hand", NSDAB itp., organizowanych jak to wykazał przewód sądowy, przy współudziale funkcjonariuszów obcego państwa. Śmieszną rzeczą oczywiście byłoby mówić, iż tego rodzaju bandy bezideowych i płatnych jednostek mogą kiedykolwiek wpłynąć na osłabienie siły Państwa i Narodu Polskiego w naszych województwach zachodnich. Nie mniej jednak są one dowodem, iż „rzeczywista rzeczywistość" życia mniejszości niemieckiej daleko odbiega od deklarowanej przez ich przywódców lojalności. Wyrazem niezrozumiałej zupełnie tolerancji jest fakt tolerowania około 50-iu pastorów, obywateli niemieckich, uprawiających wrogą agitację wśród ludności Państwa Polskiego, tolerowanie wydawnictw i broszurek o mniej lub więcej wyraźnym antypaństwowym charakterze.

A to wszystko musi tym bardziej oburzać społeczeństwo polskie, gdy zestawiamy powyższy obraz z położeniem półtoramilionowej ludności polskiej po drugiej stronie granicy, zamieszkującej autochtoniczne ziemie polskie. W obliczu celowej akcji wynaradawiania autochtonnej ludności polskiej na Śląsku Opolskim, Powiślu, Warmii, Mazurach, Kaszubach i Ziemi Złotowskiej, prastarych kresach polskich, tym bardziej nie możemy zrozumieć tej naszej nadmiernej tolerancji.

Jeśli wyraźnie odróżniamy zagadnienie mniejszości niemieckiej jako napływowej, to w nie mniejszym stopniu muszę to uczynić w stosunku do ludności żydowskiej. Przyjdzie mi to tym łatwiej, że należę do grupy ludzi, która do paktów z p. Wiślickim i jemu podobnymi odnosiła się w dawnym B. B. z wyraźną niechęcią. Należę do tej grupy ludzi, która nie potrzebuje dzisiaj odnajdywać pojęcia Narodu i czynić z tego odkrycia jajka Kolumba. Nie zabiegałem w czasie wyborów o głosy żydowskie, nie mam zobowiązań w stosunku do żadnego rabina, mogę więc powstrzymać się od wykonywania ostrej szarży na p. Mintzberga. Powiem natomiast krótko: nie po to na ziemiach zachodnich prowadziliśmy i prowadzimy walkę o wzmocnienie elementu polskiego na zajętych dotychczas przez obcy nam element placówkach gospodarczych, nie po to kładliśmy i kładziemy tak wielki nacisk na rozwój polskiego stanu średniego, na rozwój polskiej spółdzielczości, polskiego kupiectwa, abyśmy dziś przez oddawanie tych placówek w ręce żydowskie mieli obniżać poziom naszego życia kulturalnego, dopuszczać w jakiejkolwiek postaci żargon niemiecki, dopuszczać akcję komunistyczną. Niebezpieczeństwu tego rodzaju postawimy zdecydowaną tamę, przeciwstawimy się całą energią społeczeństwa polskiego ziem zachodnich. Co więcej, chcemy, aby nie tylko na ziemiach zachodnich, lecz na ziemiach całej Rzeczypospolitej syn chłopa i robotnika polskiego, garnący się dziś do handlu i rzemiosła, znalazł w tych zawodach dla siebie jak najszersze pole pracy, tworząc wszędzie podstawę zdrowego polskiego stanu średniego. Obce są nam natomiast wszelkie teorie rasizmu, niezgodne ani z duchem narodu polskiego, ani z jego kulturą chrześcijańską.

Ale oprócz zagadnienia mniejszości istnieje w tej chwili stokroć ważniejsze zagadnienie, zagadnienie **organizacji Narodu Polskiego.** Znajdujemy się w istotnie trudnym położeniu. Dziś znajdujemy się w okresie, który pan Wicemarszałek Miedziński nazwał okresem dekompozycji, a który ja nazwę po prostu okresem kompletnego chaosu pojęć i równoczesnego rozbicia społeczeństwa.

Mówmy szczerze. Rząd w tej chwili opiera się na całości społeczeństwa, lecz opierać się na wszystkich, to często nie mieć oparcia w nikim. Jedyną dziś ostoją spokoju i równowagi Państwa jest konstytucja. Daje ona podstawę Rządowi, chroni go, ale to nie wystarcza. Rząd Rzeczypospolitej musi opierać swoje działanie nie tylko na konstytucji, ale na mocnym, zorganizowanym i skonsolidowanym społeczeństwie.

Wśród różnych tendencji, które się dziś kształtują, jasno i wyraźnie zarysowuje się niebezpieczeństwo frontu komunistycznego. Znamy to niebezpieczeństwo, doceniamy je, walczymy z nim, rozumiejąc, że jest to działanie na terenie Państwa Polskiego obcej agentury, zmierzającej do zagrożenia naszej niepodległości. Stojąc zdecydowanie na stanowisku niezależności wewnętrznego życia Polski od obcych agentur, stwierdzamy, że Rząd może liczyć na pełne zrozumienie społeczeństwa w jak najenergiczniejszej walce z tymi agenturami. Same jednak środki policyjne nie wystarczą. Stosowanie ich nie zwalnia nikogo od obowiązku szukania głębszych przyczyn rozszerzania się tej akcji. A przyczyn tych szukać musimy w ciężkim położeniu mas robotniczych i chłopskich w Polsce, olbrzymiej nędzy i w zdezorganizowaniu społeczeństwa. Nie popełniajmy jednego z najgorszych błędów — zaliczania wszystkich tych, którzy walczą o poprawę swego bytu, którzy walczą o przebudowę Państwa Polskiego, z państwa o pozostałościach feudalnych w państwo oparte o najszersze warstwy robotnicze i chłopskie, do obozu komunistycznego. Niestety, błąd ten popełnia się dość często.

Nie stosujmy też zbyt pochopnie zakazów. Oto przed kilku tygodniami wielkie poruszenie wywołała w Warszawie sprawa zakazu odbycia zebrania przez legalnie istniejące związki zawodowe pracowników państwowych, samorządowych, kolejowych i t. d. Jeśli wśród urzędników są komuniści, jeśli o tym wiadomo jest władzom bezpieczeństwa, to tacy ludzie powinni być natychmiast zwolnieni, ale nie można legalnie istniejącym związkom zakazywać odbywania zebrania, na którym omawia się sprawy pracowników. Bo jakiż jest skutek tego zakazu? — Oto taki, że na tym żerują najbardziej skrajne elementy i najbardziej radykalne związki najsilniej wzrastają.

To, co powiedziałem wyżej, w dużej mierze dotyczy również naganki, prowadzonej obecnie na Związek Nauczycielstwa Polskiego. Związek ten skupia przecież licznych oficerów rezerwy, Kawalerów Krzyża Virtuti Militari. Być może, że jak w każdej organizacji, tak i tam znajdą się komuniści. Tych należy usunąć i unieszkodliwić. Ale całość nie jest komunistyczna, tak jak nie są komunistyczne polskie masy pracownicze i robotnicze. Masy te w ogromnej swej większości odznaczają się głębokim i szczerym patriotyzmem. Nie wolno ich odpychać od państwowości polskiej.

Obóz nasz cechowało zawsze głębokie zrozumienie kwestii socjalnej Polski. Sądzę, że nic się w nas pod tym względem nie zmieniło i zmienić się nie powinno. Tworzenie nowego obozu nie jest oczywiście sprawą Rządu. Jest sprawą reprezentantów społeczeństwa i samego społeczeństwa. Zadaniem naszym — i tę pracę podejmiemy — jest tworzenie w Polsce, właśnie w oparciu o te najszersze masy, szerokiego patriotycznego frontu pracy, który z jednej strony dążyć będzie do ugruntowania i wzmocnienia siły Państwa, z drugiej zaś — do przebudowy Polski pod względem społeczno - gospodarczym i związania z Państwem najszerszych, obywatelsko czujących, warstw pracowniczych i robotniczych.

Jeśli stworzenie tego obozu jest jednym z naczelnych zadań naszych, to nie mniej ważne są dwie inne sprawy:

Cenię ludzi odważnych, którzy umieją przyznawać się do błędu. Przyznajmy się i my do tego, że obecna ordynacja nie jest najlepsza. Z przyznania tego umiejmy wyciągnąć wnioski realne. Jednym z naszych zadań musi być wypracowanie takich zasad parlamentaryzmu polskiego, które pozwoliłyby na zrealizowanie i pogodzenie postulatu owocnej i zdrowej pracy parlamentarnej z postulatem pełnej reprezentacji społecznego oblicza kraju.

Trzecim wreszcie zadaniem musi być przygotowanie się do takich wyborów, które nie budziłyby w społeczeństwie wątpliwości, które zbliżyłyby ponownie parlament do społeczeństwa, pojętego w jego najszerszej istocie.

Jeśli te trzy zadania spełnimy, jeśli wyprowadzimy społeczeństwo polskie z chaosu, w którym się obecnie znajduje, to zarówno Rząd, jak i Sejm, będzie mógł mieć poczucie należytego wypełnienia swej roli w obecnym trudnym przełomowym okresie.

Mieczysław Milbrandt

# Obrona myśli

*„W swoich początkach* — powiada Russell — *nauka istniała dzięki ludziom miłującym świat, którzy dojrzeli wspaniałość gwiazd, mórz, wichrów i niebosiężnych szczytów. Ponieważ oni umiłowali te rzeczy, przeto rozmyślali nad nimi, pragnąc lepiej je zrozumieć i poznać, niż na to pozwalała powierzchowna obserwacja."*

Miłość do świata była matką nauki. Celem myślenia było poznanie przedmiotu ukochania — tajemniczej i niepokojącej rzeczywistości. Był to akt kultu. Pierwsi filozofowie stali się poszukiwaczami prawdy, uniesieni zachwytem nad pięknem świata. Rozpoczęli poszukiwania nie dla celów praktycznych.

Ale człowiek nie tylko poznawał świat, zachwycał się wspaniałością gwiazd, wichrów i niebosiężnych szczytów, nie tylko musiał patrzeć i myśleć, ale i działać. Świat szedł ku niemu jako piękno — ale wichry przewracały mu domy, a morze topiło okręty, świat walczył z człowiekiem. Z chęci obrony i zachowania siebie, z trwogi i nieufności, z parcia rzeczywistości powstało celowe i świadome zachowanie się aktywne — czyn.

Umożliwiły go początkowo umiejętności praktyczne. Odosobnione, sporadyczne obserwacje tworzyły minimum wiedzy potrzebnej do skutecznego działania (używamy nazwy „czyn" w jej węższym znaczeniu, na oznaczenie czynów skierowanych na zewnątrz; myślenie przeciwstawiałoby się zatem czynowi).

Nauka okazała się jednak lepszym podłożem czynu. Treść jej miała od kolebki podwójne oblicze; była obrazem rzeczywistości, lecz tym samym mogła być zastosowana do aktywnego zachowania się w tej rzeczywistości. Trzeba jedynie uznać naukę za środek, służący działaniu. Nauka miała zatem od swego początku dwie strony. Tendencja praktycznego pojmowania nauki ujawniła się w całej pełni w ostatnich czasach. Jako sugestywny przykład wartości jej praktycznego zastosowania może służyć kultura materialna naszych czasów. Człowiek jednak nie wyrzeknie się poznania.

Rzeczywistość okazała się niewdzięczna dla miłującego ją poszukiwacza prawdy. Cel zrazu bliski i łatwo osiągalny oddalał się w nieskończoność. Trzeba było jednak doświadczeń wielu stuleci, aby po wiekach postępującego triumfu rozumu przyszedł okres poznania granic jego możliwości. Rozum nie dał człowiekowi poznania prawdy. Po teologii rozumu Wielkiej Rewolucji przyszedł okres zmierzchu zaufania do wszechwładnego *ratio*. Nadzieja stworzenia przez niego całkowitego i prawdziwego obrazu świata zawiodła. Zachwianie wiary w intelekt ujawniło jego bezsiłę. Dokonuje się to w czasach obecnych. Zdaniem Planeka *„nie ma teraz pewnika, w który by ktoś nie wątpił, ani bezsensu, w który by ktoś nie wierzył, powstaje pytanie, czy jest jeszcze jakaś prawda„ mogąca ogólnie uchodzić za niezwalczoną i dającą trwały punkt oparcia przeciw falom sceptycyzmu."* Zwątpienie naruszyło nawet nauki matematyczne. Według H. Poincare'a bezsensem jest pytać, czy geometria euklidesowa jest prawdziwa, podobnie jak pytać, czy prawdziwy jest system metryczny miar. Są to umowy. Pytanie o prawdziwość umów jest bezsensem.

Wszystkie szczytowe próby wytłumaczenia rzeczywistości przeciwstawiły się sobie. Pogłębianie nauk formalnych ujawniło jedynie jaskrawiej przeciwieństwa krańcowych kierunków filozoficznych: walkę bez kompromisu i nadziei zwycięstwa jednej ze stron. Jest w tym patos, ale i tragedia. Kiedy nauka, użyta do walki z naturą stworzyła wspaniałą kulturę materialną, której możliwości rozwojowe przewidują tylko pisarze w utopiach, nauka, jako dążenie do stworzenia światopoglądu, przeżywa szczególnie ostry kryzys. Ujawnia się to przede wszystkim w filozofii. Ukazują się książki, tytułem mówiące o treści *„Tragikomedia mądrości"*, *„Tragedia filozofii"* i inne.

Zmierzch wiary w naukę powoduje zachwianie zaufania do rozumu, jako twórcy tej nauki. Podaje się w wątpliwość, czy rozum miał kiedykolwiek jakieś zasadnicze zadania poznawcze. Podnosi to Voihinger. *„Przedstawienia, sądy i wnioski, a więc myślenie* — pisze on — *służą jako środek woli życia i panowania. Myślenie jest pierwotnie jedynie środkiem w walce o byt, jest funkcją biologiczną"*. W naturze panuje jednak powszechnie prawo przerostu środka ponad cel. Rozum wyzwolił się z pod przewagi działania, postawił sobie cele teoretyczne. Aby je, choćby pozornie, osiągnąć, intelekt stworzył naukowe fikcje, sprzeczne same ze sobą albo z rzeczywistością.

Upadek wiary w rozum i naukowe dociekanie dochodzi do krańcowości. T. Lessing pisze: *„Myślenie, wszelkie refleksyjne dociekanie, nie jest stanem doskonałym, ale czymś chorobliwym, przejściowym i bolesnym"*.

Zachwianie nadziei w zaspokojenie poznawczych pragnień prowadzi do zainteresowania się życiem od strony działania. Powstaje wiara w nieograniczone możliwości czynu.

Rozum nie spełnił swych zadań teoretycznych. Usiłuje się dzisiaj znaleźć przyczyny tego. Bergson wskazuje na to, że rozum nie może pojąć dynamiki życia. Stwarza prawa dla faktów powtarzających się; w życiu zaś każda chwila jest czymś nowym. Meyerson widzi inadekwacje rozumu jako środka poznania w jego dążności do jedności i tożsamości; nie może on ująć różnorodności zjawisk.

Wiekowa praca rozumu odsłoniła jego bezsilność. Przyszedł czas zmierzchu zaufania do intelektu. Wyprawa po odkrycie prawdy wydaje się obecnie beznadziejna. Świat, niesprawiedliwy dla człowieka miłującego, chcącego go posiąść poznaniem, okazał się lepszy dla człowieka zdobywcy. Nauka, jako podłoże działania, dała to, czego od niej żądano — ciągle wzrastającą władzę nad naturą. Wobec sugestywnej siły rezultatów nauki jako środka opanowania otoczenia człowieka, zagadnienie absolutnej prawdziwości jej twierdzeń wydaje się mało ważne. Prawdziwością ich, według pragmatyzmu jest właśnie to, że prowadzą do skutecznego działania. Poznanie, zdaniem James'a, nie jest odbiciem rzeczywistości. W materiale, dostarczonym przez zmysły, dokonywujemy selekcji. Nasze zaś pojęcie *„to niejako uprząż, którą nakładamy na rzeczywistość, aby nią lepiej kierować"*.

Stoimy zatem wobec przeciwstawienia dwóch zadań nauki, dwóch postaw człowieka — poznawczej i aktywnej. Sprowadza się to do przeciwstawienia myśli i czynu.

Myśl dzieli rzeczywistość na podmiot poznający i przedmiot poznawany. Czyn zdaje się pokonywać owe przeciwieństwo. Człowiek w działaniu przestaje uświadamiać sobie rozdwojenia rzeczywistości. Staje się czynnym elementem działającej całości. Myśl, poznanie, jest autonomiczne, niezależne bezpośrednio od czynu. Działanie jest przez myśl kierowane i ograniczane.

Rozum nie dał całkowitego poznania. Czy da kiedykolwiek — nie wiadomo. Pewne jest jednak, że człowiek nie wyrzeknie się dążenia do stworzenia prawdziwego obrazu świata; jest on nie tylko zdobywcą, ale i tęskniącym metafizykiem. Usuwanie poznawczych zadań nauki nie może trwać długo. Nauka ma przede wszystkim cele teoretyczne.

Dzięki czynowi człowiek osiąga władzę nad naturą. Trzeba jednak, aby nie stał się niewolnikiem czynu. Działanie, pojmowane zrazu jako środek obrony i walki z naturą, może stać się celem dla siebie. Niebezpieczeństwo takie jest w czasach obecnych wyraźne. Godziłoby to jednak bardzo poważnie w samą istotę człowieczeństwa. Powtórzmy zatem za Pascalem: *„Całe nasze dostojeństwo polega na myśleniu"*.

Es-er

# Hitleryzm i katolicyzm

Tarcia między ruchem narodowo - socjalistycznym w Niemczech a kościołem katolickim znane są szerokiej opinii z komunikatów ogłaszanych od czasu do czasu w prasie codziennej. Niemniej jednak na podstawie tych sporadycznych, urywkowych informacji trudno jest jeszcze odtworzyć sobie całokształt obrazu wzajemnych stosunków między katolicyzmem i hitleryzmem, zrozumieć istotę sporu, jak również odtworzyć sobie natężenie walki.

Wielką jest też zasługą francuskiego pisarza katolickiego, p. Roberta d'Harcourt, który w niedawno napisanej książce p. t. „L'évangile de la force", omawiającej ewolucję wychowawczą młodzieży niemieckiej, opisał i wnikliwie zanalizował istotę i charakter problemu religijnego w Niemczech, zwłaszcza zaś antagonizmu między kościołem katolickim i ruchem hitlerowskim.

Analizując genezę i istotę hitleryzmu, d'Harcourt dopatruje się jego siły w rozbudzeniu w narodzie niemieckim, zwłaszcza zaś w młodzieży niemieckiej, niesłychanie silnej reakcji na stan bierności politycznej i ideowej, na konformizm i bezduszność kierunków politycznych, które były u władzy w Niemczech Wejmarskich, nie negując przy tym znaczenia wielkich trudności gospodarczych, w jakich znajdował się lud niemiecki, a zwłaszcza młodzież niemiecka, w ostatnich latach, poprzedzających dojście do władzy Hitlera.

Zwycięstwo swe Hitler zawdzięcza przede wszystkim całkowitemu zdyskredytowaniu w oczach ludu niemieckiego panujących poprzednio kierunków politycznych, które nie umiały dać ludowi niemieckiemu bodźca do zwycięskiego pochodu naprzód, przy czym najbardziej zdyskredytowanymi w oczach ludu niemieckiego stały się dawne kierujące partie, t. j. socjaldemokraci i katolicy.

W tych warunkach zrozumiałe jest, że z chwilą dojścia do władzy hitleryzmu stosunki między nim a katolicyzmem, który w przeciwieństwie do dawnych partii socjalistycznych utrzymał się nadal przy życiu — musiały się zaostrzyć, zwłaszcza na odcinku odwiecznych roszczeń kościoła katolickiego do posiadania w swych rękach wychowania młodzieży, przynajmniej młodzieży katolickiej.

Czując wogóle nienawiść do katolicyzmu, jako dawnej zdyskredytowanej potęgi politycznej w Niemczech, hitleryzm szczególnie silnie rozwinął swe ataki na kościół z chwilą, gdy kościół zaczął przeciwstawiać się próbom wychowania młodzieży niemieckiej w duchu narodowo-socjalistycznym.

Wychowanie hitlerowskie, wyrosłe na podłożu teorii rasistowskiej, na podłożu wyższości rasy germańskiej (co jest niewątpliwie emocjonalną reakcją hitlerowców na uczucie niższości w stosunku do narodów, które zwyciężyły Niemcy w wojnie światowej i w konsekwencji nałożyły na Niemcy pewne więzy), na histerycznym niemal uwielbianiu wszystkiego, co jest niemieckie, znaleźć się musiało z miejsca w sprzeczności z uniwersalnym charakterem kościoła katolickiego, który zarówno swą filozofię jak i dyspozycje działania czerpie z zagranicy.

Uleganie dyspozycjom Rzymu papieskiego stało się, przy takim nastawieniu, naturalnym punktem obrazy dla hitlerowców. Rzym nie ma prawa rządzić się w Niemczech, gdyż w Niemczech rządzić mogą tylko Niemcy. Na tym tle wyrósł główny antagonizm, antagonizm między organizacją państwową i kościelną. Oczywiście w tych warunkach jeden krok naprzód, a walka przesuwa się odrazu na płaszczyznę walki z samą religią. Boć jeśli słuszną jest walka z papieżem-Włochem, który stara się narzucać Niemcom swój punkt widzenia, to tak samo uzasadniona jest walka z Chrystusem, którego nauka z natury rzeczy nie może pogodzić się z zasadą nadrzędności wszystkiego, co germańskie.

Powyższe wnioski, które pozwoliłem sobie przedstawić jeszcze przed przedstawieniem dowodów, zdają się niewątpliwie wynikać z tych faktów, jakie d'Harcourt zebrał w swej książce, a które ilustrują formy, jakie przybiera walka z kościołem katolickim w Niemczech.

Walkę na szerszą skalę rozpoczęły słynne procesy, wytoczone większości klasztorów katolickich w Niemczech o wywożenie, mimo zakazu, dewiz za granicę. Ponieważ, pomijając poszczególne fakty wywożenia pieniędzy dla innych celów niż kościelno - religijne, klasztory wywoziły swe pieniądze do Rzymu, na opłacenie świętopietrza, wzmogła się tym samym nienawiść do Rzymu.

Chociaż kary pieniężne i więzienia, jakie zapadły na procesach, nie były zbyt surowe, niemniej jednak uderzenie hitleryzmu w kościół było bardzo silne, przy czym starano się o to, aby było to przede wszystkim uderzenie moralne: „Nie będziemy tworzyć męczenników chrześcijańskich — mówił o tych procesach namiestnik badeński Wagner, — ale pokażemy ludowi „kryminalistów".

Procesy dewizowe zamieniły się więc w wielkie społeczne procesy zohydzania kościoła katolickiego.

Po całym kraju rozlegały się piosenki, śpiewane przez maszerujące kolumny młodzieży hitlerowskiej, w których głównymi bohaterami byli „złodzieje dewiz". Przytoczenie tekstu tych piosenek jest przeważnie niemożliwe ze względu na gwałtowność użytych w nich wyrażeń. Roją się one od takich zwrotów, jak „bandyci międzynarodowi", „sznura dla powieszenia zdrajców Niemiec", „czarni zdradzają i okłamują kraj" etc.

Równocześnie wśród młodzieży katolickiej rozrzucano i odczytywano publicznie odezwy, zawierające zdania w rodzaju: „Uwaga, nie dopatrujcie się tylko w nich sług bożych. Oni są sługami ukrytego Centrum, oni są zdrajcami wielkiej sprawy niemieckiej".

Po procesach dewizowych wytoczono przeciwko klerowi katolickiemu wielki proces seksualny (na wiosnę 1936 r.). Aresztowanych na skutek dochodzenia sądowego 267 ojców franciszkańskich postawiono przed sądem karnym w Koblencji pod zarzutem uprawiania deprawacji małoletnich chłopców, powierzonych opiece tych zakonników. Nazajutrz po pierwszym dniu procesu jedno z najbardziej poczytnych pism niemieckich, któremu — jak twierdzi d'Harcourt — patronują najwyżsi wodzowie trzeciej Rzeszy (d'Harcourt nie podaje jednak nazwy tego pisma), pisząc o procesie dało parodię ewangelicznego tekstu: „Pozwólcie dziatkom przyjść do mnie" jako nagłówek sprawozdania z procesu.

Ale nie na tym koniec. Akcja antykościelna, prowadzona na terenie Niemiec, ma jeszcze szereg dalej idących przejawów.

W całym szeregu wypadków napadano na kościoły, rozpędzano procesje i pielgrzymki religijne, maltretowano młodzież katolicką, kierując szczególnie silne ataki na tę młodzież, która nie chciała się wypisać z organizacji katolickich.

Katolickie dziecko w szkole, należące do organizacji katolickiej, jest z reguły traktowane jako zdrajca i niepożądany przybysz. Stosuje się do niego zarówno ze strony kolegów, należących do młodzieży hitlerowskiej, jak i ze strony nauczyciela hitlerowca, wszystkie szykany.

Dojrzalszy chłopiec z takiej organizacji, po skończeniu szkoły, nie może dostać pracy. Terror ekonomiczny wobec katolików idzie w parze równolegle z akcją zohydzania kościoła, jak i z terrorem siły pięści.

D'Harcourt cytuje wypadki, jak w walce z kościołem hitlerowcy nie zawahali się nawet złamać tajemnicy spowiedzi. Między innymi na niemieckim Górnym Śląsku postawiony został przed sądem ksiądz katolicki, Horoba, za to, że na spowiedzi dawał spowiadającej się kobiecie rady, które uznane zostały za wrogie państwu niemieckiemu.

Ale nie tylko niżsi księża stają się celem ataków hitlerowców.

Nie żałują oni również i najwyżej postawionych dygnitarzy kościelnych. W lutym 1936 r. „Das Schwarze Korps", organ niemieckich sztafet ochronnych, pisał list otwarty do kardynała Faulhabera z Monachium pod wiele znaczącym tytułem: „Wer lügt Herr Kardinal", t. j. „Kto kłamie panie kardynale" (Pan czy my).

Lecz walcząc z kościołem katolickim, hitlerowcy powinni wysuwać równocześnie pozytywny program religijny, dla którego mogliby zjednać masy, przede wszystkim młodzież. Czy jest taki program i jakie są jego podstawy?

Oczywiście program religijny hitlerowski nie jest jeszcze zupełnie skrystalizowany. Najbardziej ekstremistyczne elementy w walce z chrześcijaństwem poszły nawet tak daleko, że stworzyły hasła nawrotu do dawnej religii starogermańskiej. Np. w podręczniku szkolnym dla młodzieży hitlerowskiej znajdujemy takie charakterystyczne ustępy: „Nasi przodkowie żyli na stopie równości z Panem wszechrzeczy. Oni nie potrzebowali pośredników, aby rozmawiać z Nim. Oni nie znali nawet słowa modlitwa. Oni byli za dumni na to. Naszym zadaniem jest odnaleźć i ożywić w nas wiarę naszych przodków. My nie możemy uznawać religii, która była rozpowszechniona na świecie przez żyda za pomocą ognia i miecza. My nie możemy należeć do miedzynarodowej religii. Wierzymy w świętą krew naszej rasy. Naszą wiarą są Niemcy."

Prądy neopogańskie nie są jednak zbyt silne i nie są uważane zresztą za dostateczną siłę atrakcyjną dla opuszczających szeregi chrześcijańskie ludzi. Stanowią one raczej tendencje, niż właściwy ruch religijny, aczkolwiek wiele się o tym pisze i mówi na całym świecie. Ostatecznie więc celem głównym walki z katolicyzmem, tak samo zresztą jak i z protestantyzmem jest zupełne wyrwanie młodzieży niemieckiej z pod wpływów organizacji religijnych i włączenie jej wyłącznie do szeregów młodzieży hitlerowskiej. Jaśniej więc znacznie rysuje się cel negatywny w stosunku do istniejących obecnie tradycyjnych kierunków religijnych, niż tworzenie nowej wiary.

Niemieckość ma być na pierwszym planie. To jest główny cel. Hasło „Deutschland über alles", bardzo żywe już dawniej, nabrało obecnie najżywszej treści i niezależnie od takich czy innych oderwanych deklaracji Baldura von Schirach ono ma być poniekąd religią nowych Niemiec, której wszystkie dotychczasowe formy wychowania religijnego muszą ustąpić miejsca.

Gdy zestawiamy fakty podane przez d'Harcourt, z których tylko niektóre wyżej przytoczyliśmy, fakty, świadczące o niesłychanym natężeniu walki z kościołem, zwłaszcza z kościołem katolickim, mimowoli nasuwa się pytanie, dlaczego prasa całego świata, a zwłaszcza prasa polska, stosunkowo tak mało poświęca temu zagadnieniu uwagi, w szczególności dlaczego zagadnienie to znajduje tak stosunkowo słabe odbicie w materiałach i oświetleniach, dostarczanych prasie przez informacyjne agencje katolickie.

Milczenie to wydaje się tym mniej uzasadnione, że ostatnio, zaledwie przed kilku tygodniami zadano dotkliwy cios kościołowi katolickiemu w Niemczech, znosząc ustawowo odrębne organizacje młodzieży katolickiej i włączając przymusowo całą młodzież katolicką do organizacji młodzieży hitlerowskiej, przed czym kościół katolicki bronił się dotychczas z całą siłą. To ostatnie zagadnienie skąd inąd dotyczy również i narodowych interesów ludności polskiej w Niemczech. To też nie może ono być dla nas obojętne, także i z tego punktu widzenia. W każdym jednak razie w odniesieniu do sprawy kościoła katolickiego w Niemczech oznacza ono dalszy planowy krok na drodze do systematycznego pomniejszania roli kościoła, jako czynnika realnego wpływu na układ stosunków i bieg życia publicznego na terenie Trzeciej Rzeszy Niemieckiej.

## NA MARGINESIE

# Kradzież dusz

*„Kradzież dusz" — to zagadnienie par exellence „regionalne", występujące jako swoista właściwość ziem południowo-wschodnich, ściślej województwa lwowskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego, słowem obszarów, na których Kościół katolicki dzieli wpływy między wyznawców obrządków: łacińskiego i greckiego. Tocząca się wbrew zasadom „Concordii" cicha walka o wpływy tych dwóch obrządków wykracza daleko poza granice wyznaniowe, a sięgając w swych konsekwencjach głęboko w sferę stosunków narodowościowych, na tym baczniejszą zasługuje uwagę. Prym w walce tej trzyma kler grecko - katolicki, świadom rzeczy, iż każda pod skrzydła jego przygarnięta owieczka, to jednocześnie w znakomitej większości przypadków nowy, dotkliwy nieraz, wyłom w polskim stanie posiadania.*

*Należyte zrozumienie omawianego zjawiska wymaga kilku słów komentarzy.*

*Dziedzinę stosunków międzywyznaniowych w interesującym tu zakresie normuje na wyszczególnionych wyżej obszarach ustawa z dnia 25 maja 1865 r. (Dz. P. P. Nr. 49).*

*Ustawa ta w swym art. 1 stanowi, że synowie zrodzeni z małżeństw wyznaniowo-mieszanych idą za wyznaniem ojca, córki — za wyznaniem matki. Małżonkom wolno wszakże umową przed — czy poślubną uregulować kwestie odmiennie, t. j. ułożyć sie, że np. córki pójdą za wyznaniem ojca, lub że wszystkie dzieci, bez względu na płeć, dzielić będą wyznanie jednego bądź drugiego rodzica.*

*Dzieje się wszakże częstokroć, że rodzice, kierując się względami czysto praktycznej natury, np. bliższym położeniem cerkwi od kościoła, łatwiejszym do niej dostępem i t. p., poddają dziecko, w świetle przytoczonych zasad przynależne do wyznania rzymskokatolickiego, obrządkowi chrztu w cerkwi.*

*W przypadkach takich, dopełniający z a s t ę p c z o obrządku chrztu paroch greckokatolicki, stosownie do wyraźnych w tej mierze przepisów (por. zarządzenie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w porozumieniu z Ministerstwem Wyznań Religijnych i Oświecenia z dnia 10 sierpnia 1886 r. 1. 7. 191 ex 1884 (1. nam. 3.506 ex 1886)) obowiązany jest:*

*1. sporządzić dla celów porządkowych akt obejmujący a n a l o g i c z n i e do aktu urodzenia i chrztu zespół niezbędnych w tym zakresie danych, przy czym aktu tego, celem uwydatnienia wyłącznie porządkowego jego znaczenia, nie wolno zaopatrywać w numer kolejny, t. zw. numerus serialis,*

*2. odpis wspomnianego w punkcie poprzednim aktu tymczasowego przesłać właściwemu ze względu na wyznanie dziecka przełożonemu parafii rzymskokatolickiej, dla sporządzenia przez tego ostatniego właściwego aktu urodzenia, t. j. aktu posiadającego już pełne znamiona dokumentu publicznego.*

*Otóż w praktyce parochowie greckokatoliccy świadomie naruszają tylko co przytoczone przepisy, przyoblekając sporządzony przez się akt tymczasowy w formę ostateczną i zaniedbując zgoła obowiązku notyfikacji, o jakim mowa wyżej w punkcie 2-gim.*

*W ten sposób spełniona zostaje kradzież i to nie byle jaka, bo kradzież dobra narodowego, kradzież wielkiej niewiadomej, jaką jest kryjąca zaród nieprzewidzianych możliwości na przyszłość — dusza polskiego dziecka.*

*Przeciwko przywłaszczeniu najbłahszej choćby rzeczy fizycznej istnieją, surowymi obostrzone sankcjami karnymi, środki rewindykacji. Nie dajmy bezkarnie ogałacać się z imponderabiliów! Rewindykujmy chwytane podstępnie w sidła dusze idących pokoleń! Niech, przy wydatnej pomocy narodowo - uświadomionej części społeczeństwa, wzmogą swą czujność władze! Przywrócenie naruszonego stanu prawnego nie nastręcza większych trudności.*

*Każdy bezprawnie przez greckokatolickiego parocha sporządzony akt urodzenia dziecka polskiego winien z urzędu przy ewentualnym zastosowaniu rozporządzalnych środków przymusu, ulec skreśleniu i przeniesieniu do właściwych rejestrów stanu cywilnego, a więc rejestrów tego wyznania, do którego z prawa w myśl obowiązujących przepisów, dziecko należy.*

*Caveant consules, ne quid detrimenti Respublica capiat!*

Adam Uziembło

## DWIE KSIĄŻKI M. WAŃKOWICZA

# I. „Strzępy epopei" — Przypomnienia i sądy

Jak z bicza trzasł minęły chwile wielkiego przewrotu dziejowego, z którego się wyłoniła Polska. Więc wspominamy. Kiedy nad samym krajem zapanowały najprzeraźliwsze ciemności, kiedy Legiony po szeregu katastrof zostały rozproszone, a resztki ich zapełniać poczęły obozy w Szczypiornie, później w Marmarosz-Sziget, gdy dalekonośne działa niemieckie rzucały już pociski na przedmieścia Paryża, a przemoc teutońska urastała do rozmiarów czegoś nieprzemożonego, niezwyciężonego — właśnie wtedy, właśnie o najciemniejszej nocy — poczęła się w różnych stronach świata budzić — nadzieja w skuteczność czynu. Gdzie tylko gromada Polaków zeszła się, mówiono o tworzeniu siły zbrojnej, o organizowaniu armii narodowej.

Na obszarach rosyjskiego imperium wiele było czynników, które pchały w tym kierunku. Uderzyły w nie dwie rewolucje — jedna po drugiej. Runął carat, a zaraz po tym rozprószone zostały szeregi demokratów, sięgających po władzę. Cała organizacja państwowa rozwalona. Polacy mieli do wyboru: zostawać i brać udział w walkach wewnętrznych, albo wracać do kraju. Ale jak wracać? Czy w pojedynkę, w rozproszeniu? Czy w zwartych oddziałach?

A otwierały się jeszcze dalsze możliwości: wyzyskać okres chaosu i stworzyć własne wojsko, które pójdzie zdobywać ten kraj?! Podejmie walkę z Niemcami. Wszak koalicja mocarstw Zachodu wspomoże... Ta myśl porywała — zapalała.

Wiele wody upłynie, zanim będziemy mogli spojrzeć na te rzeczy z całkowitą bezstronnością, zanim wszystkie czynniki tej nieopisanej tragedii ujawnione zostaną. Dziś opinia publiczna twierdzi, że owocem tej ostatniej ideologii było powstanie I-go Korpusu Polskiego w Bobrujsku. Korpusu zaś dzieje — wlały się w dzieje armii polskiej, opromienionej zwycięstwami pod wodzą Piłsudskiego. To, co poprzedziło owe zwycięstwa, osłania mgła.

I oto każe nam zajrzeć po za zasłonę tej mgły Melchior Wańkowicz, wydając ponownie „Strzępy Epopei", uzupełnione kilkoma szkicami o wartości na pewno nie przemijającej.

Wańkowicz posiada talent rzadki chwytania życia na gorącym uczynku, łapania faktów, ujmowania „rzeczywistości rzeczywistej" w jej codziennej prawdzie. Nie usiłuje on narzucić czytelnikowi tezy — on opowiada to, co widział: nie kryjąc ani patosu, ani śmieszności. I dlatego ten, kto by szukał w jego książkach powierdzenia dla z góry powziętego poglądu — ujrzy być może w autorze raz zaciekłego szlachciurę, „żubra", (z tych, najbardziej puszczańskich) — kiedy indziej komunistę zgoła, ateusza lub klerykała — zależnie wszakże nie od pozytywnych wywodów i twierdzeń, ale od bezwzględności w ujawnianiu wszystkiego, co autor w określonej tendencyjności wolałby nieraz ukryć i przemilczeć, w ukrywaniu czego lubuje się wszelkiego rodzaju miernota, strojna przede wszystkim — w pruderię.

W „Strzępach epopei" Wańkowicz jest — jak w innych swych dziełach doskonałym portrecistą, który w nim samym ze stałym powodzeniem i zawsze odnosi triumf nad agitatorem, służącym pewnej tendencji.

A przecież pokusę tendencji znajdujemy zarówno w treści, jak w samej konstrukcji książki. Jeniec w Rosji, legionista, po niesłychanych perypetiach dostaje się do Korpusu I-go. To symbol. Oto znalazł się taki, który wtedy, gdy Legiony zostały rozbite, dobiega do nowo utworzonej formacji polskiej, by w jej ręce przekazać ideę walki. Następne szkice poświęcone są próbom popchnięcia owego I-go Korpusu do czynu. A potem obrazy wojny, naszej wojny roku 1920-go. Konstrukcja poddaje myśl, że wszystko to są fragmenty jednego wysiłku, który się w różnych formach objawiał. Wszystko szło ku jednemu, ku Niepodległości...

* * *

Duża część książki poświęcona jest odmalowaniu sytuacji polskich formacji wojskowych na terenie Rosji w latach 1917 — 18. Jakież było nasze położenie wtedy, po rewolucji jednej i drugiej, które obaliły carat?

Wańkowicz widzi całą absurdalność tego położenia. Po czyjej stronie stanąć? Czy bratać się z bandą kokainistów, broniących starego porządku rzeczy? Czy kłaść się pokotem w obronie nieco operetkowych rządów Kiereńskiego? Czy zaciągać pod pięcioramienną gwiazdę? Nie! A więc co? — neutralność? Neutralność nie w Londynie, nie w Chicago, ale w samym Piotrogrodzie, w sercu rewolucji, na obszarach Imperium, w którym toczy się wielka walka o przyszły ustrój? Neutralność między dwoma okopami, ba, gorzej jeszcze — neutralność obejmująca rozproszonych ludzi po obu stronach okopów! Absurd! Życie pokazało, że o neutralności w tych warunkach mowy być nie mogło!

A jednak wojsko powstało.

I wojsko to ukazuje nam Wańkowicz. Tworzył je żołnierz, napływający zewsząd. Żołnierz ten z czegoś rezygnował, idąc do korpusu polskiego. Rezygnował z możliwości — czekania. Ale oficer? Oficer szukał w nim spokojnej przystani przed powszechnym buntem, przed wyłapywaniem ludzi, noszących szlify. Któż zresztą był ten oficer? Albo rezerwista, wzięty z poboru, albo... człowiek, który jeszcze przed wojną dobrowolnie się w służbę carską (tak, carską!) zaciągnął, człowiek — może i porządny osobiście — ale przeważnie o uczuciach narodowych co najmniej przytępionych. A na czele Korpusu? — „rozkoszna pała", Muśnicki, jak go maluje w świetle wydanych ostatnio pamiętników tego indywiduum, Wańkowicz.

W jaki sposób stało się, że tego rodzaju osobnik mógł zająć naczelne stanowisko w tworzących się szeregach? Co za fatalny zbieg okoliczności?

A przecież z relacji Wańkowicza wynika, że nie był to całkowicie przypadek. Stanowisko najwyższe w korpusie nie mogło pochodzić z wyboru — nie, przypadało ono w zespole oficerów przede wszystkim randze wiodących Ojczyźnie — właśnie randze. A rangę najwyższą w służbie rosyjskiej, w służbie najezdniczej, wcale nie z przypadku zajmował właśnie ten napewno nie najlepszy z Polaków! Po tę rangę trzeba było chodzić i po przez wyrzeczenie się narodowości i po przez porzucenie katolicyzmu. Z tego faktu już wówczas nie trudno było zdać sobie sprawę, ale przecie przejście do porządku dziennego nad rangą Muśnickiego stwarzałoby precedens groźny dla każdego posiadacza rangi. I stąd płynęło to obciążenie Korpusu osobą groteskowego dowódcy.

Armia, która miała walczyć o niepodległość, miała służyć Polsce, musiała być armią rewolucyjną. A Korpus I — tworzył się właśnie w sposób legalistyczny, legalizm swój czerpiąc z uprawnień dynastii Romanowów. I tu narzuca się porównanie pomiędzy Korpusem a Legionami, które organizuje cywil, wychodzący z mroków konspiracji, nie generał, ale polityk, agitator, samouk w dziedzinie militarnej, lecz nade wszystko Człowiek, który nigdy nie był obcą służbą korumpowany, który wyrusza w pole z oficerami, gotowymi w każdej chwili wrócić do masy szeregowych, nie obciążonych ciężkim dziedzictwem uzyskanych w obcej armii rang i uprawnień.

Aby tworzyć wojsko w warunkach podległości trzeba mieć Piłsudskiego. Umiał to robić Dąbrowski. A tu — sama logika wypadków wydźwignęła na czoło coś, co i w typie i w działaniu miało w sobie niewątpliwie cechy właśnie Chochoła z „Wesela" Wyspiańskiego.

A skutki?...

Oddajemy głos Wańkowiczowi:

„I cóż w darze narodowi Korpus pierwszy przyniósł? — pyta, stając przed sądem polowym: — Przejściem pod okupację niemiecką dał silny atut polityczny Niemcom w ręce... I Niemcy nie omieszkali wygrać tego politycznego atutu...

„Prowadziliśmy na terenie okupacji politykę rabunku, gwałtu, bezeceństwa... To podkopało powagę naszego imienia na wschodzie, utrudniło na szereg lat pokojową ekspansję Państwa Polskiego na kresy...

„I wreszcie przełamaliśmy, zgnietli, w bagno wtłoczyli psychikę dwudziestu pięciu tysięcy żołnierza, który... rzuca się na rozgrabienie korpusowego majątku, demoralizuje się, klnie dowództwo...

„I można było chcieć bić się albo nie. Ale niech powiedzą ci, co się od walki cofnęli, jakim prawem nosili orły i amaranty? Jakim prawem Korpus tworzyli i w nim tkwili, skoro finis był już od dawna widoczny?..."

Wańkowicz z żywą sympatią opowiada o Matuszewskim, o Barthlu de Weydental — sympatia ta przechodzi w czułość, gdy mowa o „Lisku", o Lisie-Kuli. Stają nam przed oczyma ich rozpaczliwe wysiłki, prace całego „Związku Broni", gromady prawdziwych, stuprocentowych ideowców, pracujących nad przekuwaniem psychiki zegranych a niezgranych szeregów. Stają przed nami postacie żołnierskie, piękne w swej oliarności surowej, lub zawadiactwie rycerskim, — stają w niezłamanej krasie i prawdzie życia, w niebotycznej poezji walki.

Ale żaden z tych ludzi nie dorósł do pokonania bezmyślności dowództwa. Barthel — przemawiający w cyklistówce do pomieszanych szyków, trybem Kiereńskiego usiłujący przekonać tam, gdzie trzeba było użyć rozkazu i nawet teroru. Jego pomocnicy, którzy decydowaliby się na wszystko — gdyby od razu wszystko poszło za nimi, nie umiejący przełamać oporu bierności — niezdecydowani w działaniu, cofający się wobec istotnej trudności...

Nie — nie było tam ludzi zdolnych do kierowania. Bagatela! Skądże tę zdolność mogli posiadać młodzieńcy, mający... „po dwadzieścia lat na głowę".

Nie było w Korpusie pierwszym wodza. Nie było w Korpusie atmosfery, która by przepoiła poczuciem odpowiedzialności jakiegoś szczerego, a doświadczonego żołnierza. Nie było w Korpusie idei panującej, mocnej. Młodzież zorganizowana widziała jeden cel na razie: bić się z Niemcami. To za mało. Zwłaszcza, gdy na tyłach buszuje morze rewolucji, ziemia się pod nogami pali, a tuż przed frontem wróg zdyscyplinowany i — miraż Rady Regencyjnej, którą nie stać było na wygranie atutu, jaki jej nastręczało istnienie Korpusu. Zresztą osoba dowódcy istotnie w wielkiej mierze przekreślała wartość atutu.

Wańkowiczowi należy się szczera wdzięczność za książkę, napisaną barwnie, żywo — pięknie. Niejedna jej karta wpleciona zostanie w wieniec chwały naszego bohaterstwa, niejeden rozdział wzbogaci tematy pieśni o „żołnierzu tułaczu, który borem, lasem — idzie, z głodu i nędzy przymierając czasem". Ale jest w tej książce coś więcej, jest męstwo spojrzenia prawdzie w oczy, męstwo niezbędne tam, gdzie postulatem musi być wyzwolenie prawdy z pęt zakłamania.

R. W. Horoszkiewicz

## FRAGMENTY WSPOMNIEŃ 1914—1918

# Patrol

Lubią bracia, starzy legioniści, wspominać brygadowe czasy... Gdy to służyli obaj w 1 kompanii, I baonu, 1 pp. Leg.,., Od sierpnia 1914 roku. Później rozdzielili się. — Wacek pozostał wierny piechocie i pierwszej kompanii, Tolek przeszedł do ułanów, do Beliny.

Popatrzą tak czasem dzisiaj obaj na siebie i uśmiechną się równocześnie: „Pamiętasz?" — I naturalnie toczą się potem opowieści jedna za drugą, pełne przygód różnych, wspomnień, wrażeń...

Jednym z takich wspólnych ich legionowych przeżyć był patrol na Stopnicę Królewską. Na Podbalu. Służyli wówczas właśnie jeszcze razem w 1 kompanii, a Dąb-Biernacki był ich dowódcą.

Jakoś więc z końcem listopada 1914 r. stanęła kompania na kwaterach w Jurkowie. Dowództwo zajęło domek porządniejszy, ze sklepikiem (może w nim jeszcze i dzisiaj sprzedaje pieprz i zapałki jegomość z waszecia, a dziewczyna z za lady zęby szczerzy do kupującego, tak samo jak wówczas, tylko już nie ta sama na pewno...). Placówkę wystawiono na górze „Mogilnica".

Podniecenie lekkie wywołała wieść, że znaleziono ładunki rosyjskie na ścieżce polnej... A więc nieprzyjaciel w bezpośrednim pobliżu...

Wacek Znicz do pierwszej w nocy był na placówce, pod komendą Saperlota... (Dobry to był żołnierz ten Saperlot, z pseudonimu Gruszkowski, kapral I Brygady. W „cywilu" nazywał on się jeszcze inaczej — Michał Hapowicz, a zginął prawdziwie po bohatersku pod Jabłonką w 1915-tym.). Wrócił więc Znicz z tej placówki nocą na kwaterę, kawę w maszynie sobie zagotował, sprawiedliwie na nią zarobił... godzina już może pierwsza była, gdy Dąb, jak zwykle szybko, nerwowo, wpadł do izby. „Aha — Wacek — idziesz na patrol? — na ochotnika naturalnie?" (Do dzisiaj Znicz tej niewypitej kawy nie może darować Dębowi...) A z za dowódcy kompanii już się i Tolek wysunął i Jaśko Stasiak rynsztunkiem szczęknął, zbierać się zaczęli i Lignarowie obaj, Kram Leon, Guzy... ruch się zrobił, śpiący z pod koców wyciągali głowy i nogi... w kilkanaście minut — gromada ze trzydziestu ochotników stała już na podwórzu.

Tak się zaczął ten patrol...

Obaj bracia ruszyli w szpicy... Do dzisiaj jeszcze w ich opowiadaniu śnieg chrzęści, noc się powoli rozjaśnia, aż wreszcie doszli do Stopnicy...

Następne wypadki błyskawicznie się potoczyły... Pluton wlazł po porostu między kwaterujących Rosjan. Kawaleria to była. Za jakimś urwiskiem, drogą śliską i szklistą, zlodowaciałą, doszli do chaty, z której w tej chwili właśnie wyszedł żołnierz nieprzyjacielski. Gwałt naturalnie z miejsca powstał okrutny, strzelanina (niewielka), Wacek konie odwiązywać począł uwiązane przed domem, inni jeńców z chat wyciągali... i jak najszybciej patrol spełniwszy zadanie, stwierdziwszy obecność wroga, prowadząc jeńców, podążył z powrotem.

Jechał teraz Znicz na zdobytym koniu, a Tolek idąc obok, może właśnie wtedy postanowił do ułanów się przenieść...

Nie jest wcale ta przygoda jedyną, ani nawet najciekawszą... Wiele ich było takich i podobnych... Ale jest typową i mało znaną... Zawsze tak przecie szli legioniści z fantazją, szybko i nagle uderzając na nieprzyjaciela. Pozyskali tym też sławę znakomitych patrolowców. W walkach pozycyjnych sławę tę utwierdzili... Gdzie Austriacy wogóle nie marzyli nawet o dostaniu języka, gdzie Niemcy całymi kompaniami dochodzili, polując na jednego Moskala, tam strzelcy w kilku szli, prawie na pewniaka...

Nie udawało się i naszym czasem... Pamiętam kaprala Spisaka, pod Sitowiczami, w 1916 roku, z piersią z dwóch stron naraz bagnetami przebitą. Na zasadzkę Sybirców nocą się natknął... Zaraz jednak następnej nocy kilka patroli poszło śmierć kolegi pomścić... I wróciły z jeńcami, krwawo znacząc swe ścieżki zniesionemi wedetami i patrolami rosyjskimi.

Chodziły setki i tysiące razy takie patrole nasze... I mają co opowiadać starzy żołnierze. Tylko jakoś nie bardzo umieją... I zawsze we wspomnieniach własnych dana rzecz inaczej wygląda.

I napewno nie poznają Żyborscy patrolu swego ze Stopnicy Królewskiej w moim opowiadaniu. Choć mnie tak właśnie przedstawiła go ich opowieść o nim... I będą mieli do mnie pretensje, że było tam inaczej. A ja znów pewny jestem, że z nich każdy dzisiaj również „inaczej" opowie. Bo i z nich każdy co innego wówczas odczuł i inne wrażenia zapamiętał.

Trzeba nam jednak opisywać wszystko co pamiętamy. Co wiemy o tamtych czasach...

Bo historia opracuje ruchy strategiczne, czy taktyczne, — zliczy karabiny i amunicję, wykreśli marsze i postoje na mapie, poda nawet nazwiska plutonami i kompaniami... ale jak wyglądali ci, co te nazwiska nosili, co czuli, i co i jak przeżywali — tego nie opowie nikt.

To musimy opowiedzieć my sami...

S. P.

## ŻYCIE PROWINCJI

# Na odcinku mniejszości niemieckiej

Po okresie względnego spokoju na odcinku spraw naszej mniejszości niemieckiej stanęliśmy wobec zjawiska nieprzebierających w środkach akcji atakowania Państwa i społeczeństwa polskiego przez Niemców, stanowiących t. zw. mniejszość narodową.

Spokój, o którym wspominaliśmy, zapanował w 1934 r., kiedy R. P. zawarła pakt nieagresji z Rzeszą Niemiecką.

I tu jest moment istotny, jeżeli chodzi o stosunek mniejszości niemieckiej do Państwa Polskiego. Stosunek ten można określić jako zależny od koniunktury politycznej między Polską a Rzeszą.

Jest to zjawisko ze wszech miar ujemne i niemożliwe do tolerowania na dłuższą metę.

W konsekwencji koniunkturalności stosunku mniejszości niemieckiej do Państwa wszystkie słowa o rzekomej lojalności nabierają specyficznego zabarwienia.

Że tak faktycznie było nikt z nas nie wątpił.

W tej chwili nastąpiło jedynie potwierdzenie tego przekonania.

Fakt podjęcia ponownych ataków ze strony mniejszości niemieckiej na Polskę właśnie w chwili obecnej musi być traktowany jako manifestacja nieszczerości haseł o lojalnej współpracy, głoszonych tak mocno w okresie lat ostatnich. Wystarczy porównać tylko następujące fakty:

W stosunkach między Polską a Rzeszą nastąpiło oziębienie z chwilą, gdy marszałek Rydz-Śmigły pojechał do Paryża przez Austrię, a nie przez Berlin.

Na to oziębienie zareagowała mniejszość niemiecka podjęciem ataków na Państwo.

Wskazuje to, jak czułym barometrem są Niemcy w Polsce.

Ale obok tego na uwagę zasługuje, że ataki na Państwo podjęła — ostatnio grupa t. zw. młodoniemców (Jungdeutsche Partei), która dotychczas prześcigała się w deklarowaniu szumnej lojalności. Ta sama J. D. P., która w walce ze starymi, zgrupowanymi w Poznańskim i na Pomorzu w Deutsche Vereinigung, zarzucała im reakcjonizm.

Na ścisły związek w posunięciach Niemców w Polsce z czynnikami polityki zagranicznej Rzeszy wskazuje radio niemieckie, które w szeregu komunikatach podało wiadomości przekręcone bądź wręcz kłamliwe o rzekomym ucisku Niemców w Polsce.

Jednocześnie radio niemieckie posunęło się do wyraźnej propagandy na rzecz J. D. P., przedstawiając tę ostatnią jako jedyną reprezentantkę niemieckiego narodowego socjalizmu w Polsce.

Wywołało to oburzenie w kołach Deutsche Vereinigung, które nie marzy o wyłącznym reprezentowaniu niem. narodowego socjalizmu w Polsce, ale domaga się ze strony oficjalnych czynników Rzeszy przynajmniej sprawiedliwego uznania dla swej pracy.

Dla nas interesującym w całej tej sprawie jest fakt przyznania się niemieckich czynników oficjalnych, do jakich zaliczyć należy w państwie III-ciej Rzeszy radio niemieckie, do Jungdeutsche Partei.

Na wiosnę 1936 r. wykryto, że legalnie istniejące stowarzyszenie Wanderbund w Polsce jest związane z Jungdeutsche Partei, co naruszało obowiązujące przepisy prawne, zabraniające zależności stowarzyszeń sportowych od politycznych. Dalej wykryto, że Wanderbund działał w związku z czynnikami obcymi i że zmierzał do oderwania ziem polskich. Proces w tej sprawie zakończył się przed paru tygodniami wyrokiem skazującym przed sądem okręgowym w Tarnowskich Górach.

To są rzeczy znane. Ale do nich należy dorzucić, że radio niemieckie wyrok w tym procesie tendencyjnie przedstawiło, kończąc twierdzeniem, że młodzieży niemieckiej nie wolno w Polsce zrzeszać się. Przed tym to samo twierdzenie czytaliśmy w prasie J. D. P. w Polsce. J. D. P. dla sprawy tego procesu wykazała specjalne zainteresowanie, a wyrok spotkał się z krytyką w jej organach.

To wszystko wskazuje na związek J. D. P. z wywrotowymi organizacjami niemieckimi i czynnikami zagranicznymi, które usiłują coraz bardziej mieszać w naszych stosunkach wewnętrznych.

Wskazać jeszcze należy na strukturę organizacyjną J.D.P., która zbudowana jest od góry do dołu na podstawie t. zw. autoratywnej, nominacji i rozkazu, z pominięciem społecznego charakteru stowarzyszeń, którego cechą są wybory.

Struktura ta upodabnia J. D. P. do N. S. D. A. P. w Niemczech.

Jest to jeszcze jeden moment, który wskazuje, że J. D. P. jest zbudowana na wzorach zagranicznych i jak to ostatnio podjęta akcja atakowania władz i społeczeństwa polskiego wykazuje, działalnością swoją stara się przysporzyć nam trudności wewnętrznych, dokładnie wtedy, gdy linia polityki Polski i Rzeszy wykazuje rozbieżności.

Jak wiadomo twórca i wódz J. D. P. w ubiegłym roku obdarzony został godnością senatora z nominacji w senacie R. P.

Po roku senator Wiesner odpłaca się za ten zaszczyt akcją siania niepokoju. Senator W. stawia siebie w roli kontrahenta Państwa Polskiego, mówiąc o niedotrzymanej umowie, twierdzi, że nić porozumienia między Państwem a mniejszością niemiecką pręży się z winy Państwa.

Jest rzeczą oczywistą, że Państwo ze swoimi obywatelami umowy nie zawierało.

W położeniu Niemców żadna zmiana nie zaszła — bo zajść nie mogła.

Tylko senator Wiesner działa w zależności od koniunktury w stosunkach między Polską a Rzeszą.

ZAGADNIENIA

M. J.

# Biurokracja a szkoła

Problem biurokracji był tylokrotnie omawiany na łamach prasy, że powracanie do tego tematu nie należy do rzeczy przyjemnych. Niemniej jednak, sprawa ta nie jest błaha, a stąd nie należy pozwolić na zapominanie o niej. Zadaniem niniejszego artykułu będzie przypomnienie tylko niektórych jej przejawów i to przede wszystkim z jednego odcinka, mianowicie z frontu oświatowo - szkolnego.

Istnieje tak zwana „droga służbowa" przy zwracaniu się do władz wyższych instancji. Droga to, zwłaszcza w sprawach ważnych, nad wyraz słuszna. Do podania, składanego w drodze służbowej musi być jednak dołączony „wyciąg z wykazu stanu służby", „arkusz spostrzeżeń kierownika", oraz „opinia o pracowniku". Jeżeli ktoś z zainteresowanych pracował całe życie na jednej placówce, to sporządzenie wykazu ze stanu służby jest proste. Ale jeżeli w ciągu kilkunastu lat delikwent zmieniał miejsce pobytu, np. wyjeżdżał zagranicę, zmieniał charakter swej służby, to wypełnienie wyciągu już tak łatwą czynnością nie jest i często wykracza poza istniejące w tym celu druki, zaopatrzone dość obficie w pozycje, §§, rozdziały itp.

Bieda byłaby jeszcze niewielka, bo wyciągi te musi sporządzić sam pracownik, który ostatecznie jest w tym bezpośrednio zainteresowany. Lecz nie zawsze daje się to załatwić tak prosto i bez wysiłków.

Weźmy konkretny przykład z życia. Panu X. potrzebna jest do uporządkowania jego aktów służby kopia dokumentu z czasów np. Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich z roku 1920. Z punktu widzenia biurokratycznego sprawa jest nader prosta. Trzeba złożyć podanie w drodze służbowej, zaopatrzone załącznikami, to znaczy wyciągiem z arkusza służbowego (daty upstrzone numerami) i arkusza spostrzeżeń. Taki akt idzie do kierownika szkoły, do inspektora, później do Kuratorium, Ministerstwa (gdyż ono w owym czasie prowadziło sprawy Kresów, bo Kuratoriów nie było), a z Ministerstwa do obecnego Kuratorium, np. Brzeskiego, obejmującego miejscowość, w której w owym czasie pracował zainteresowany. Tam poszukują i po paru miesiącach powraca odwrotną drogą odpowiedź przez Kuratorium, Ministerstwo, Kuratorium obecnego przydziału, inspektora szkolnego, kierownika i wreszcie do nauczyciela. Odpowiedź krótka: „Dokumentu nie ma".

Akt w ciągu 9 miesięcy zakończył swoją doczesną wędrówkę. Zawiera on jednak uwagę, że może poszukiwane pismo znajdować się w aktach gimnazjum, należącego obecnie do innego Kuratorium. Więc pyta strapiony pracownik co teraz robić? „Proszę Pana — prosta sprawa: należy złożyć podanie w drodze służbowej, wraz ze stanem służby i z odpisem z arkusza spostrzeń" itd. itd. Na nowo więc procedura się powtarza i znowuż plik papierów wlecze się przez urzędy w ciągu, tym razem, całego roku. Wraca bez rezultatu, po to, by pójść z kolei po raz trzeci i wreszcie trafić na ślad właściwy. Gdyby sobie ktoś zadał trud obliczenia, ile ta biurokratyczna zasada kosztowała, ilu ludzi musiało te papierki mieć w ręku, ilu referentów musiało je oglądać, ile maszynistek musiało je pisać, ile razy był akt notowany w dzienniku, ulegał sprawdzeniu i t. p., mógłby być poważany. A wszystko po to, aby zadowolić tak zwaną „drogę służbową". Czyż nie prościej byłoby, gdyby od razu sam zainteresowany, lub urząd pierwszej instancji, a więc kierownik szkoły, zwrócił się do danego Inspektoratu, gimnazjum, czy wreszcie Kuratorium obcego — nie swego okręgu — po te wyjaśnienia? O ileż przyspieszyłoby to obieg papierków, ile złotych zaoszczędzonoby wówczas? A poza tym, po co gromadzić te stosy „arkuszy spostrzeżeń" i „wyciągów ze stanu służby", „opinii" i t. p. Przecież w ten sposób powstają takie zwały makulatury po urzędach, że w nich ostatecznie giną ludzie, nie tylko ich dokumenty.

Czy to jest niezbędne? Zrozumiałą jest rzeczą, że władze wyższych instancji muszą mieć dokładne pojęcie o pracowniku, będącym pionkiem gdzieś na dole. Ale kiedy ten tak dokładny obraz jest im naprawdę potrzebny? Wówczas, gdy go mają odznaczyć, co rzadko się zdarza, gdy zechcą mianować go na inne, a zwłaszcza wyższe hierarchicznie stanowisko, lub gdy mają mu udzielić zaliczki na pobory. Natomiast takie wypadki, jak poszukiwanie kopii dokumentów, zwracanie się o takie lub inne wyjaśnienia, związane z normalną pracą, nie wymagają koniecznie bodajże nawet drogi służbowej, a cóż dopiero sporządzania do każdego podania owych „wyciągów ze stanu służby", „arkuszów spostrzeżeń", „opinii" itp.

A oto przykład inny. Ktoś przypomniał sobie w Ministerstwie Oświaty, że w drukach arkuszów stanu służby przy stopniach służbowych istnieje wyraz „szczebel". Dziś szczebel jest nieaktualny, więc nauczycielstwo bądź go przekreślało, bądź w miejscu na odpowiednie dane stawiało kreskę. Zdarzało się widocznie, że nie wszyscy to czynili, bo oto ukazuje się rozporządzenie przypominające, że wyraz „szczebel" należy skreślać. Czyż naprawdę, warto było uruchamiać całą biurokratyczną maszynę (referentów, maszynistki, naczelników wydziału ministerstwa, Kuratoriów, Inspektorów szkolnych), aby toczyć wojnę z tym bez znaczenia dziś wyrazem? Czy naprawdę w Polsce nie ma już nic lepszego do zrobienia, jak w drodze urzędowej wykreślać z jakiegoś druku wyraz „szczebel", lub zmieniać „wyciąg z wykazu stanu służby" na „arkusz personalny".

*

Weźmy przykład z życia codziennego. Istnieje zapadła dziura, nawet nie kresowa, nie sto kilometrów od stacji kolejowej, zgoła nie. Po prostu miejscowość X. znajduje się kilkanaście kilometrów od stacji kolejowej. Jest miejscowością normalnie zapuszczoną, z trudem tylko udaje się w niej zorganizować jakieś życie oświatowe, przy czym pewne potrzeby związane z oświatą, jak naftę dla oświetlenia kursów wieczorowych, drzewo do opalania sali i t. p. prymitywne wydatki, zdobywają kursiści własnym przemysłem, a nie rzadko tego typu wydatki pokrywa i sam nauczyciel, prowadzący pracę. Z trudem idzie ta praca, z mozołem zdobywa się do niej uczestników, pomoc pieniężną trudno zdobyć, — bo... kryzys.

Wizytacja... no naturalnie i ta jest potrzebna. Czy czasem jednak w tym systemie wizytacyjnym nie zachodzi pewna przesada? Zwłaszcza, jeśli chodzi o szczególnie uroczyste wizytacje, zbiorowe. Przyjeżdża takie ciało wizytujące w gromadzie, samochodem (bo trudno inaczej). Do małej mieściny zjedzie ministerialny wizytator, oczywiście kuratoryjny resortowy, no i instruktor oświaty pozaszkolnej. Czy tego rodzaju wizytacje w naszych warunkach nie są pewnym luksusem, zwłaszcza gdy rezultat ich, jak się niewątpliwie często zdarza, jest minimalny, lub nawet żaden. Zgodnie z żądaniem programów i wymogów pedagogicznych, aby w szkole, w nauczaniu, aktualizować napotykany materiał, może należałoby i taką wizytację zaktualizować przez obliczenie, ileby nafty otrzymali słuchacze dla oświetlenia kursów, gdyby diety i koszta podróży, związane z taką wizytacją zostały przekazane zarządowi kursów i świetlicy na opędzenie wydatków, czy na pomoce naukowe?

W Warszawie odbywają się stale kursy dla kierowników szkół. Odrywa się ich od własnej szkoły i ciągnie się gromadą do 30 osób po innych szkołach, rzekomo wzorowych. Nie chodzą a suną postacie wystraszone po szkołach, podczas pauz, wśród dzieci. Tymczasem ich własne szkoły są w ciągu dłuższego czasu bez opieki. Natomiast w szkołach, w których odbywa się kształcenie, czy dokształcanie, istnieje z racji najścia tylu ludzi, zupełne zamieszanie, szkodliwe dla całości i spokoju pracy.

Kursów tego typu nasza oświata urządza dość dużo, szkoli się nauczycieli, kierowników, oświatowców od oświaty pozaszkolnej itp. Czy czasem nie nadmiar kursomanii w tych ciężkich czasach?

Trzeba pamiętać, że zbyt liczne kursy często nie tylko nie pomagają, lecz demoralizują pracowników.

Poglądy powyższe kierujemy pod adresem naszych centralnych władz szkolnych. Piszemy je bez żółci, lecz z wiarą, że poruszone tu zagadnienia zasługują na poświęcenie im chwili uwagi. Myślimy szczerze, że gdyby zabrano się do zniesienia w administracji szkolnej pewnych przerostów biurokratycznych, do istotnego uproszczenia, a tym samym i potanienia biurokracji, przez odciążenie jej od niekoniecznych, a tym samym szkodliwych papierków, gdyby zracjonalizowano kontrolę i system wizytacyjny, gdyby zmniejszono o 50% liczbę kursów i doszkalań, — to być może, że dałoby się w ten sposób osiągnąć pokaźne rezultaty finansowe, a nawet i nie tylko finansowe.

Lecz spraw tych nie załatwi się tylko okólnikami Ministerstwa o odbiurokratyzowaniu szkoły. Ujemnym objawom należy wypowiedzieć walkę. W wyniku tej walki należy je w najgorszym razie ograniczyć, w najlepszym — po prostu usunąć.

Adres Redakcji i Administracji Warszawa, Widok 3 m. 33, tel. 6.09.70

# NOTATNIK ZAGRANICZNY

## Sprawy marokańskie

(z. d.) Już od dłuższego czasu pojawiały się w prasie europejskiej wiadomości nigdzie nie dementowane, dotyczące przenikania Niemców do strefy protektoratu hiszpańskiego w Marokko. Zostało stwierdzone ponad wszelką watpliwość, że Niemcy opanowali Marokko hiszpańskie całkowicie pod względem gospodarczym i administracyjnym. Zostało również stwierdzone, że pod kierunkiem inżynierów niemieckich zbudowano w Ceucie nowe fortyfikacje i ustawiono ciężkie działa, przywiezione z Niemiec. Wszystko to dawało w Paryżu i Londynie asumpt do komentarzy, ale oba rządy ograniczyły się do zajęcia stanowiska wyczekującego.

W takiej sytuacji nadeszła do Paryża wiadomość z Casablanki, że czynione są w Melilli (Marokko hiszpańskie) przygotowania do przyjęcia w najbliższej przyszłości licznych oddziałów niemieckich. Wiadomość ta wywołała w Paryżu istną burzę. Rząd francuski odrzucił tym razem myśl o reakcji sposobami „strusiej dyplomacji" i postanowił dać Niemcom odprawe taką, jakiej świat demokratyczny oczekuje od mocarstw zachodnich już od kilku lat: zarządzone zostało ostre pogotowie floty wojennej i wojsk kolonialnych, w Marokko francuskim i Algierze. Minister obrony narodowej Daladier postanowił udać się do Afryki północnej z podróżą inspekcyjną. Równocześnie konsul generalny Francji w Tetuanie przypomniał tamtejszemu Wysokiemu Komisarzowi Marokka hiszpańskiego o konwencjach francusko - hiszpańskich z lat 1904 i 1912. W konwencjach tych Hiszpania zobowiązuje się nie wprowadzać na terytorium swego protektoratu wojsk obcych i nie ustępować — choćby tylko czasowo — innemu państwu praw swoich do Marokka.

Zdecydowana i godna wielkiego mocarstwa postawa Francji wywołała w Berlinie orkan niezadowolenia. Zrozumiano, że plany niemieckie odnośnie Marokka zostaną przez Francję pokrzyżowane, tak samo, jak w latach 1906 i 1911. Ale na tym dla Berlina sprawa się nie kończy. Dnia 10 stycznia prasa amerykańska dokonała na temat poczynań niemieckich w Marokko komentarzy, które dla prestiżu Niemiec w Stanach Zjednoczonych będą zabójcze. *„New York Times"* pisał, że „wobec rozwoju sytuacji w Marokko w ostatnim tygodniu, wojna domowa w Hiszpanii staje się sprawą drugorzędną dla ogólnych interesów europejskich. Hitler mógł wysłać tysiące żołnierzy do Hiszpanii, aby walczyć na korzyść gen. Franco, nie ryzykując, że znajdzie przed sobą armaty francuskie i angielskie; może być jednak pewien, iż nie postawi nogi na południowym wybrzeżu Gibraltaru bez walki...". Waszyngtońskie *„The News"* przekonane są, że „jeśli kto chce wywołać komplikacje, to właśnie Hitler. Przez trzy lata deptał on traktaty międzynarodowe. Mógł to czynić dla trzech przyczyn: 1) Po traktacie wersalskim istniała duża sympatia dla narodu niemieckiego, 2) Francja, Wielka Brytania i pozostali sąsiedzi Rzeszy woleli znosić prowokacje, niż odpowiadać siłą, 3) Sąsiedzi ci nie zawsze współdziałali. Natomiast dziś Hitler znajduje się wobec innej sytuacji: ani Francja, ani Wielka Brytania nie pozwolą mu działać...". *„New York Herold Tribune"* uważa, iż „Hitler okazał kilkakrotnie wielką zręczność w dokonywaniu odwrotu. Być może cofnie się i tym razem". Otóż w dwa dni po tych komentarzach publiczność amerykańska dowiedziała się, że ambasador Francji w Berlinie miał z kanclerzem Hitlerem rozmowę na temat Marokka i że w następstwie tej rozmowy Quai d'Orsay „uważa incydent, wywołany przez niebezpieczeństwo okupacji hiszpańskiego Marokka przez niemieckie siły wojskowe, za zupełnie zlikwidowany".

Jak w Ameryce tak i gdzieindziej— nikt dziś nie może mieć wątpliwości, że Niemcy, pod wrażeniem postawy zajętej przez Francję, postanowiły zrezygnować ze swych daleko idących planów militarnego opanowania strefy hiszpańskiej w Marokko. Droga została zamknięta i co więcej, prestiż Niemiec w opinii międzynarodowej został poważnie nadszarpnięty. Zanotował to Berlin w dniu 10 stycznia. I w dniu tym reakcja prasowa Berlina, dotychczas bezprzykładnie napastliwa, niemniej jednak utrzymana w formie, przyjętej w życiu międzynarodowym, nabrała wszelkich cech manifestacji ulicznej. Chcąc zamaskować odwrót posunięto się w Berlinie tak daleko, że półurzędowa ajencja D. N. B. wydała komunikat... insynuujący Francji chęć zagarnięcia zbrojną ręką Marokka hiszpańskiego. Organ partii narodowo - socjalistycznej „Voelkischer Beobachter" pozwolił sobie nawet na taki wypad: „Jako że nowa ofensywa narodowców pod Madrytem odpycha czerwonych coraz to dalej, Paryż zrzuca maskę europejskiego poczciwca i przygotowuje interwencję wojskową w wielkim stylu. Celem tej bezpośredniej pomocy zbrojnej dla bolszewizmu światowego jest Marokko hiszpańskie i jako pretekst służy znów najulubieńszy z postrachów światowych — Niemcy". Prasa niemiecka stara się nadto ze swą typowo pruską nieudolnością w snuciu intrygi politycznej międzynarodowej poróżnić Francję z Anglią, twierdząc... że Francja, chcąc opanować południowe brzegi Gibraltaru, czyni to celem grożenia i wywierania nacisku na Anglię! Jednym słowem Berlin przyjął w odwrocie swym z Marokka metodę, zwaną w kronikach policyjnych „łapaj złodzieja!". Wątpliwe jest jednak, czy ktokolwiek — nawet w samych Niemczech — da się przekonać, że złodziejem Marokka, którego należało łapać, była Francja.

Czterodniowy incydent został zakończony. Francja wychodzi z niego z wielkim sukcesem. Okazało się, że zdolna była wprawdzie tolerować deptanie traktatów międzynarodowych, ale miara została już przebrana i teraz na miejsce tolerancji zjawia się ostre pogotowie sił zbrojnych. Ministrowie francuscy zaczynają hołdować zasadzie, że kto nie chce być kiedyś zmuszony do użycia siły, ten musi ją często pokazywać. A wniosek stąd, iż Francji nie brak dziś stanowczości i siły mocarstwowej, która okazała. I to w dodatku niesekundowana przez Anglię.

Ważki czyn mocarstwowy Francji dokonany w związku z Marokko — dobry to znak na nowy rok 1937.

## Konflikt syryjski

(z. d.) Opinia międzynarodowa zaalarmowana została w ubiegłym tygodniu pogłoskami o mającym jakoby nastąpić nowym „fakcie dokonanym". Miała go dokonać Turcja, sięgając zbrojną ręką po obwód miast syryjskich Alexandretta i Antakya. Jest to obwód autonomiczny, zwany potocznie „Sandżakiem Alexandretty", wydzielony z terytorium mandatowego Syrii na mocy konwencji, zawartych między Francją a Turcją w latach 1921 i 1926.

Ustanowienie dla Sandżaku administracji autonomicznej, niezależnej od pozostałych części Syrii, miało na celu zagwarantowanie swobodnego rozwoju kulturalnego mniejszości tureckich. Już od bardzo dawna mieszka w okręgach Alexandretty i Antakii liczna grupa ludności, mówiąca językiem tureckim, jako macierzystym. Grupa ta stanowi około 40% wszystkich mieszkańców Sandżaku, składających się poza Turkami głównie z Armeńczyków, Arabów, Kurdów i Chrześcijan rozmaitego pochodzenia rasowego. Turcy są w Sandżaku elementem o dominującej sile politycznej, a przy tym jedyną grupą narodowościową, należącą do narodu, mającego gdzie indziej własne państwo; państwem tym jest Turcja, granicząca z Sandżakiem, co sprawia, że Sandżak jest niejako kandydatem na przyłączenie do Turcji.

Z tendencją przyłączenia Sandżaku do Turcji krzyżuje się traktat, jaki Francja spisała z przywódcami nacjonalistów syryjskich we wrześniu ub. r. Na mocy tego traktatu terytorium mandatowe Syria przekształcone zostanie po upływie trzech lat na dwa państwa niepodległe: Syrię i Liban. Sandżak ma być od września 1939 integralną częścią państwa syryjskiego. Fakt ten wywołuje sprzeciwy ze strony mniejszości tureckich Sandżaku i Turcji. Rząd turecki stanął na stanowisku, że Francja, zobowiązawszy się dać Sandżakowi administrację autonomiczną, nie ma teraz prawa wcielać go do niepodległej Syrii. Sandżak, zdaniem Turcji, powinien zostać przekształcony na państwo niepodległe, równorzędne z Syrią i Libanem. Francja natomiast wychodzi z założenia, że ustanowiła w Sandażku administrację autonomiczną, jako mandatariuszka Ligi Narodów, a więc teraz, kiedy się zrzeka mandatu, nie może w żadnym razie oderwać Sandżaku od całości terytorium mandatowego. Francja przeciwstawia się koncepcji tureckiej stworzenia z Sandżaku państwa niepodległego, związanego politycznie z Turcją, żywiąc obawę, że niepodległy Sandżak stanowiłby dla Turcji odskocznię do zdobycia wpływów politycznych na całym Lewancie. Dla Francji sprawa Sandżaku jest w dodatku zagadnieniem dotyczącym nie jej i Turcji, tylko Ligi Narodów i Turcji. Spór o dalsze losy Sandżaku ma więc podwójne oblicze: polityczne i kompetencyjne.

Kwestia mniejszościowa nie wyczerpuje meritum sporu. Wchodzą w grę tak samo czynniki gospodarcze. Port Alexandretty jest najlepszym portem na wybrzeżu od Smyrny do Beirutu. Przy tym stanowi on najdogodniejsze ujście eksportowe dla bawełny i owoców produkowanych w równinie kilikijskiej, a więc na terytorium tureckim. Z drugiej strony Alexandretta jest najważniejszym portem Syrii. Syryjski handel zagraniczny nie mógłby się bez Alexandretty rozwijać należycie. Tymczasem dla Turcji Alexandertta jest portem wywozowym j e d n e g o t y l k o rejonu gospodarczego. Opinia turecka przeprowadza stąd analogię między położeniem politycznym Sandżaku i Gdańska. Obszar Alexandretty, choć posiada ludność przeważnie turecką, odłączony został od Turcji i oddany pod mandat Ligi w uznaniu konieczności gospodarczych Syrii.

Koła polityczne w Ankarze sądzą, że teraz, kiedy mandat ma być zniesiony, wydaje się Turkom w Sandżaku równym absurdem przynależność do Syrii, jakby było dla ludności Gdańska nie do pomyślenia przyłączenie do Polski. I jak w Gdańsku podjęte zostały ostatnio intrygi przeciw Niemcom — tak chce się wprowadzić Ligę Narodów w błąd również i odnośnie prawdziwych życzeń politycznych mieszkańców Sandżaku.

Komentarze takie w odległej i zaprzyjaźnionej z Polską Turcji wywołują na terenie międzynarodowym zrozumiałe zdziwienie. Ale odpowiedź jest prosta: cherchez Berlin! W listopadzie bawił w Ankarze z oficjalną wizytą dr. Schacht...

Podróż dr. Schachta do Ankary, a w dalszym ciągu i do Teheranu wskazuje, że Trzecia Rzesza podejmuje gospodarcze i polityczne wysiłki Niemiec przedwojennych dla zdobycia wpływów w Azji Zachodniej. Wartość obrotów handlowych między Niemcami a Turcją rośnie już od kilku lat. Wyniosła w roku 1933 — 37,1 mil. funt. tur., w 1934 — 59,12 mil., 1935 — 80,13 mil. Wizyta dr. Schachta w Ankarze miała na celu omówienie sposobów dalszego ożywienia wymiany handlowej. W szeregu projektów, jakie omawiano, wysunęła się na pierwszy plan idea założenia przez konsorcjum niemieckie wielkich plantacji bawełny w okręgu Adany, gdzie leżą najlepsze w Turcji ziemie bawełniane. Tureckim portem wywozowym rejonu gospodarczego Adany jest Mersina. Przez Mersinę musiałaby więc być wywożona do Niemiec bawełna z nowych plantacji. Ale port w Mersinie nie odpowiada dzisiejszym wymaganiom techniki i nie sprostałby tak wielkim zadaniom przeładunkowym. Turcja staje więc wobec dwóch alternatyw: powiększyć i zmodernizować wielkim kosztem port w Mersinie, albo — przyłączyć do swe-

go organizmu polityczno - gospodarczego Sandżak z jego doskonałym portem Alexandretta.

Przenikanie wpływów niemieckich do Turcji czyni ze sporu o Sandżak zagadnienie o dużym rezonansie międzynarodowym. Dołączają się do tego inne, jeszcze ważniejsze momenty. Na przykład obawa Anglii i Francji, że ewentualne oddzielenie Sandżaku od Syrii stworzyłoby p r e c e d e n s mandatowy, który by ułatwił Niemcom domaganie się zwrotu dawnych ich kolonii. Istniejące analogie między problemem Sandżaku i problemem Gdańska sprawiają, że decyzja Ligi Narodów w sprawie Sandżaku nie jest dla Polski obojętna.

# NOTATNIK GOSPODARCZY

## Na marginesie budowy zapory w Porąbce

(r. p.) Ukończenie zapory w Porąbce stanowi „otwarcie sezonu" wielkich inwestycji. Należy ufać, że za zaporą porąbczańską uszereguje się długi szereg dalszych konstruktywnych osiągnięć. Winny one tworzyć coraz większe i potężniejsze uzbrojenie techniczne gospodarki narodowej. Niestety kompleks porąbczański nie jest jeszcze właściwie cały gotów. Sama zapora stanowi bez wątpienia zakład amortyzujący się — biorąc pod uwagę możliwość obniżenia fali powodziowej o 70 procent, możliwość podniesienia wód na górnej Wiśle, ułatwienie spławu bark węglowych, wreszcie ochronę wielkiej ilości hektarów uprawnej ziemi od zalewu. Jest ona zatem urządzeniem użyteczności publicznej „najczystszej krwi" w dziale gospodarki wodnej. Tym niemniej musi się przekształcić — jak najrychlej — w instytucję użyteczności publicznej, która by się rentowała bezpośrednio, a zarazem stanowiła zapełnienie potrzebnej luki w innym dziale gospodarstwa, w dziale wytwórczości energii. Może się to stać stosunkowo niewielkim kosztem, biorąc pod uwagę, że koszty budowy instalacji elektrowni oblicza się na ok. 4 miliony złotych, przy kosztach budowy samej zapory w Porąbce, wraz z niezbędnymi urządzeniami budownictwa wodnego, wynoszących ok. 18 milionów złotych. 4 miliony złotych muszą się znaleźć i zakład elektryczny w Porąbce musi stanąć. Jeżeli kapitał prywatny nie zechce się niezwłocznie podjąć tej inwestycji, to musi zabrać głos kapitał państwowy, albo związki komunalne okolicznych terenów. W tak uprzemysłowionej części kraju (Bielsko, Biała, Żywiec z okolicami, Kęty), pieniądze te winny się znaleźć.

## Wyrównanie krajowych i światowych cen zboża

(r p.) Rozpiętość pomiędzy cenami zboża na rynku wewnętrznym a cenami na giełdach światowych ulega powoli wyrównaniu. W 1933/34 r. przeciętne ceny w złotych za centnar pszenicy wynosiły w Warszawie 20.35. Cena ta przewyższała zarówno ceny uzyskiwane na rynku północno - amerykańskim (New-York), gdzie 100 kg pszenicy kosztowało 20.28 zł., jako też ceny giełd europejskich, z których najniższa, notowana w Rotterdamie, wynosiła 11 zł. 11 gr., a najwyższa (w Rotterdamie za zboże kanadyjskie) 17 złotych 32 groszy. Powolny wzrost cen na rynkach światowych szedł w parze ze spadkiem cen, notowanych w Warszawie, tak, że w 1935/36 r. Warszawa notowała za q pszenicy już 19 zł. 40 gr., która to cena była już niższa od cen giełd liverpoolskiej, hamburskiej i nowojorskiej. Natomiast giełdy w Buenos - Aires i Rotterdamie wykazywały w rzeczonym okresie przeciętnie ceny niższe od notowań giełdy warszawskiej. W ostatnim roku ceny pszenicy — po pewnych wahaniach — ukształtowały się w okresie 30 listopada — 5 grudnia — przeciętnie następująco: Buenos - Aires notował q pszenicy po 17 zł. 76 gr., Rotterdam po 21 zł. 61 gr., Warszawa po 25 zł. 45 gr., Liverpool 25 zł. 85 gr. (średnie gat.), Hamburg po 26 zł. 95 gr. (Manitoba I), New-York po 27 zł. 38 gr., (czerw. jaro-ozim.). Widzimy więc, iż w okresie tym ceny krajowe przewyższały już tylko ceny południowo - amerykańskie, a z europejskich — rotterdamską.

Podobnie ukształtowały się ceny żyta. W roku 1933/34 płacono w Warszawie za 100 kg żyta 14 zł. 33 gr., podczas gdy w tymże okresie Hamburg płacił tylko 10 zł. 07 gr., a New-York 12 zł. 66 gr. Spadek cen krajowych, przy wzroście cen światowych, doprowadził do zmniejszenia tych różnic w okresie 1935/36. W okresie tym płacono przeciętnie za q w Hamburgu 11 zł. 23 gr., w New-Yorku 12 zł. 40 gr., w Warszawie płacono jednak jeszcze ciągle więcej, bo 13 zł. 07 gr. Dodać należy, iż ceny Hamburga rozumieją się cif. Przełom nastąpił dopiero w 1936 roku, przy końcu którego (30.XI — 5.XII.) płacono przeciętnie w Hamburgu 17 zł. 07 gr., w Warszawie 19 zł. 23 gr., a w New-Yorku 20 zł. 26 gr.

Nieco inaczej kształtowały się notowania owsa. O ile w 1933/34 r. płacono przeciętnie za 100 kg owsa w Hamburgu 10 zł. 01 gr., w Warszawie 13 zł. 42 gr., w Chicago 14 zł. 52 gr., to w 1935/36 r. ceny światowe ukształtowały się w stosunku do cen krajowych raczej ujemnie, gdyż Warszawa płaciła przeciętnie za 100 kg 15 zł. 08 gr., gdy Hamburg płacił tylko 13 zł. 60 gr., a New-York nawet tylko 11 zł. 72 gr. Pewną zmianę wykazuje dopiero koniec 1936 r., a mianowicie w okresie od 30.XI. — 5.XII. płacono za q owsa w Warszawie 16 zł. 46 gr., to jest cenę wyższą wprawdzie od cen hamburskich, które wynosiły w tym okresie przeciętnie 13 zł. 27 gr., lecz niższą od notowań giełdy w New-Yorku, na której płacono 17 zł. 82 gr.

# O NAS U OBCYCH

## „Konsolidowanie" życia gdańskiego—Stosunki polsko-czeskie a sprawa ukraińska

Na łamach *„Völkischer Beobachter"* (nr. 7 z 7.1) Wilbelm Zarske, naczelny redaktor gdańskiego „Der Danziger Vorposten" a równocześnie korespondent gdański wspomnianego pisma berlińskiego, daje *rekapitulację prac i osiągnięć hitleryzmu na terenie Wolnego Miasta Gdańska* na przestrzeni roku minionego.

Jeżeli chodzi o politykę zewnętrzną, to — zdaniem Zarske'go — Gdańsk miał wielkie trudności do zwalczenia, i to zarówno na odcinku stosunków z Ligą, jak również w stosunkach z Polską. Podczas gdy stosunki z Ligą są w chwili obecnej na najlepszej drodze do normalizacji, na odcinku polskim Gdańsk jest zmuszony prowadzić ciągłe utarczki, które — jak się zdaje — weszły już, jako nieodstępna część składowa, do całokształtu stosunków wzajemnych, mimo istniejącej równocześnie między obu stronami współpracy sąsiedzkiej.

Ciekawsza i bardziej interesująca jest opinia Zarske'go o stosunkach wewnętrzno - gdańskich. Tutaj — powiada on — doszło do zupełnego zharmonizowania władzy w Wolnym Mieście z jedną partią rządową, reprezentowaną przez NSDAP. Partia przeniknęła dzisiaj całkowicie system rządów gdańskich, doprowadzając w stosunkach wewnętrznych do pełnej likwidacji t. zw. ery Rauschinga. Zlikwidowana została opozycja i to przy wyzyskaniu wszystkich stojących do dyspozycji legalnych środków, przy czym legalność tych środków wypływała z uprawnień papierowych, ale była dyktowana koniecznością nie dopuszczenia do zaciemnienia historycznej — przy boku Niemiec Adolfa Hitlera — misji Gdańska nie jako organizacyjnej, ale organicznej cząstki narodu niemieckiego. Drugim motywem, uzasadniającym przystąpienie partii do akcji likwidacyjnej opozycji, było dążenie do uniknięcia niepotrzebnego na terenie Gdańska rozbicia sił, które trzeba zużyć produktywniej na innych odcinkach walki. Usunięcie opozycji nie było — zdaniem Zarske'go — wcale podyktowane jakimikolwiek obawami partii przed działalnością opozycji. Pozycja NSDAP jest dzisiaj w Gdańsku do tego stopnia utrwalona i mocna, że opozycja nie doszłaby do głosu ani w parlamencie, ani też w terenie samym. „Wielka, narodowo - socjalistyczna gmina gdańska — mówi tu dosłownie Zarske — trwa w przywiązaniu i wierności do NSDAP nie dla tego, co partia w Gdańsku zdziałała, ale przede wszystkim ze względu na swą wiarę w Fubrera oraz w słuszność jego zamierzeń i prac dokonanych. Zlikwidowanie krzykaczy i awanturników doprowadziło do tego, że pod koniec roku istniał naprawdę spokój i zgoda."

To ujednolicenie gdańskiego oblicza politycznego pozwoliło z kolei Gdańskowi na tym skuteczniejsze przeciwstawienie się wszelkim interwencyjnym zakusom ze strony Ligi, jak również i ze strony Polski. W wyniku zajętego w tej sprawie zdecydowanego stanowiska, które doprowadziło do odwołania Lestera, nie ma już dziś mowy o jakichś planach w sprawie zmiany statutu, czy ograniczenia praw Polski. Interesy Polski, jak również i interesy mniejszości polskiej w Gdańsku, pozostały nieknięte. Co więcej — prowadzone wzajemne rozmowy przyczyniły się niewątpliwie do tego, że podwaliny, na których opierają się stosunki polsko - gdańskie, są trwałe i mocne. Taki stan rzeczy wynika najpierw z konieczności prowadzenia rzeczowej i trzeźwej współpracy, a ponadto z tego, że Gdańsk leży między Rzeszą a Polską. „Gdańsk —mówi Zarske — nie jest wcale czynnikiem, który w polityce zewnętrznej występuje oddzielnie; przeciwnie: polityka polsko-gdańska nosi wszelkie znamiona kompensacji interesów polsko - niemieckich. To przeświadczenie sprawiło, że i tu, na odcinku polityki zewnętrznej, została zlikwidowana era Rauschinga. Gdańsk dzisiejszy uważa siebie nie za coś powstałego samo z siebie, lecz za konstrukcję, która wzięła swój początek z warunków anormalnych... Ludność Gdańska, we wszystkich swoich warstwach, okazała się godna reprezentowania spraw gdańskich jako jednego z zadań niemieckich poza granicami Rzeszy."

*

*Analiza aktualnego stanu stosunków polsko - czeskich*, przeprowadzona przez *„Ostdeutsche Morgenpost"* (nr. 6 z 7.1), kulminuje w wysoce charakterystycznym stwierdzeniu, że na dalszy rozwój tych stosunków nie bez głębszego wpływu pozostanie sprawa ukraińska. „Ostdeutsche Morgenpost" dochodzi do takiego wniosku na podstawie oceny zmian, jakie zaszły ostatnio w układzie sił Europy środkowej i południowo - wschodniej. Ponieważ Rumunia — zdaniem „O. M." — nie daje dzisiaj Pradze — po wyjaśnieniu swego stosunku do Polski — należytej gwarancji politycznej i wojskowej, zarówno Praga, jak też i Moskwa doszły do przekonania, że wynikłą z odsunięcia się Rumunii kłopotliwą sytuację strategiczną Czechosłowacji rozwiąże właśnie sprawa ukraińska, stwarzając naturalny pomost między Czechosłowacją a Sowietami. „Polskie koła rządowe wiedzą — pisze „O. M." — że

propagandą ukraińską w Małopolsce Wschodniej i na Wołyniu kierują czynniki mające swą siedzibę na terytorium Czechosłowacji, że moralny sprawca śmierci najbliższego Piłsudskiemu współpracownika, ś.p. min. spraw wewnętrznych Pierackiego, znajduje się w Czechosłowacji i że odpowiednie poszukiwania czeskich czynników policyjnych pozostały bez wyniku. Wiedzą dalej w Warszawie, że radykalni przywódcy Ukraińców w Polsce nie dysponowaliby bez obcej pomocy nieograniczonymi środkami finansowymi, że jawnie wysuwają oni postulat oderwania całych obszarów od Polski, że domagają się dla Ukraińców autonomii, że nie chcą wywieszać chorągwi państwowych, że wzbraniają się sprzedawać produkty rolnicze intendenturze wojskowej i t. p.... Koncepcja czeska pokrywa się tu z koncepcją ukraińską: chodzi o oderwanie Małopolski Wschodniej linią, biegnącą od miasteczka czeskiego Medzi Laborce do Sanoka (gdzie znajduje się polska fabryka przetworów gumowych), dalej do Przemyśla, Rawy Ruskiej i Lwowa, i obejmującą jeszcze województwa wschodnie." Przez wyłączenie tego terenu z pod panowania polskiego zostałby stworzony pomost, któryby odciążył Czechosłowację od wschodu i pozwolił jej na poważniejsze skoncentrowanie siły na północy i na zachodzie państwa. „Samodzielna Ukraina, ze Lwowem, jako stolicą, zostałaby związana — w myśl życzeń Pragi — z Czechosłowacją węzłami unii gospodarczej i celnej oraz uzyskałaby gwarancję Sowietów."

„Zagadnienie ukraińskie" — kończy „Ostdeutsche Morgenpost" — stanowi dla Państwa Polskiego jedno z najpoważniej obchodzących je zagadnień. Zagadnienie to wykracza poza ramy wewnętrznego zagadnienia mniejszościowego i wkracza na teren polskiej polityki zagranicznej, dotykając odcinka sowieckiego i czeskiego; narusza ono w ten sposób polski „nerw życiowy". Nie ulega bowiem wątpliwości, że akcja czeska, skierowana przeciwko południowo - wschodnim obszarom Polski, a mająca na celu oderwanie tych obszarów, nosi w sobie zarodek ciężkich konfliktów międzynarodowych."

# PRZEGLĄD PRASY

## Hitleryzm i komunizm

Katowicka POLONIA (nr. 4396 z 10.1) przeciwstawia się zdecydowanie tezie „Słowa" wileńskiego, że w walce z komunizmem na forum międzynarodowym należy się łączyć z tymi państwami, które prowadzą zdecydowaną walkę z bolszewizmem. Ponieważ do tych państw należą w pierwszym rzędzie Niemcy, zachodzi pytanie, czy przeciwko Sowietom należy wiązać się z Niemcami?

„Polonia" daje na to pytanie odpowiedź negatywną, motywując swoje stanowisko wybitnie perfidną grą, jaką na tym odcinku prowadzą Niemcy. Hasło walki z komunizmem nie jest rzucane przez Niemcy szczerze. „Polonia" przypomina tu stosunek Niemiec hitlerowskich do Sowietów w latach 1933 i 1934, który to stosunek był więcej niż... serdeczny.

*„A więc przez dwa pierwsze lata nie tylko flirt, ale jawne i celowe kontynuowanie polityki Rapalla. Kończy się to z chwilą, kiedy bardzo silne wpływy niemieckie w Moskwie wyrugowuje polityka francuska ministra Barthou. Nadzieje na przełamanie tej bariery, jaka wyrosła naokoło Niemiec, okazują się zawodne. Wówczas nagły zwrot nad Szprewą i ostry atak przeciwko państwu, którego „ideologia grozi niebezpieczeństwem dla kultury i cywilizacji europejskiej". Gwałtowne szturmy na Rosję i wreszcie w 1936 wielki projekt niemiecki stworzenia „wspólnego frontu" przeciw komunizmowi".*

Zwrot nagły i znamienny — stwierdza „Polonia" — ale czy szczery? Dziennik przypomina przy okazji, że

*„prawicowa prasa francuska... przytacza dokumenty, stwierdzające, że cała antykomunistyczna polityka Trzeciej Rzeszy nosi wszelkie cechy wyrachowanej perfidii. Henri de Kerillis oskarżał w szeregu artykułów Niemcy o popieranie akcji czwartej międzynarodówki Trockiego na terenie Francji".*

Z takiego stanu rzeczy „Polonia" wyciąga dla rzeczywistości polskiej następujące wnioski:

*„W stosunku do antykomunistycznej ideologii Trzeciej Rzeszy należy zachowywać jak najdalej idącą ostrożność. Jest to taki sam atut w rękach dyplomacji berlińskiej, jak wszystkie inne, którymi się posługiwano dla własnych, bardzo przejrzystych celów. A już specjalna powściągliwość wobec „nowych dróg niemieckich" powinna cechować Polskę."*

## Czy konflikt Paryż — Praga

Sygnalizuje go lwowska CHWILA (nr. 6393 z 6.1) na odcinku wzajemnych czesko - francuskich stosunków gospodarczych. Cóż mogło spowodować ten ponoć dość ostro już zarysowany konflikt między państwami, które się powszechnie uważa za związane nie tylko sojuszem konstelacyjnym, ale więzami przyjaźni historycznej? — oto pytanie, na które trzeba dać odpowiedź, by zrozumieć istotę sporu."

*„Wskutek polityki handlowej Francji — pisze „Chwila" — kraj ten — mimo gospodarczego swego podniesienia się, stale skazany jest na bierny bilans towarowy i płatniczy i to miliardowy... Pasywny dla Czechosłowacji bilans tłumaczy się znacznym bardzo wzrostem eksportu Francji do Czechosłowacji przy równoczesnym dotkliwym krępowaniu importu jej z tegoż kraju... Jeżeli zaś import z Czechosłowacji nie uczynił odpowiednich postępów, to winna temu francuska polityka handlowa. I tak obniżenie importu zboża i słodu tłumaczy się protekcjonizmem agrarnym Francji, a zwłaszcza ustanowieniem cen minimalnych, które dla Czechosłowacji konkurencję czynią niemożebną.*

Te wszystkie momenty przyczyniły się przede wszystkim do tego, że obecnie Czechosłowacja wystąpiła pod adresem Francji z postulatem wyrównania bilansu we wzajemnych stosunkach handlowych, krok swój motywując następująco:

*„Nie powinno się zapominać, że Czechosłowacja w porównaniu z Francją jest krajem ubogim w kapitały i że jest zadłużona u Francji. Wiadomo też, że wobec istniejących restrykcji dewizowych kraj niedostatecznie w dewizy wyposażony nie jest w stanie pokryć dewizami miliardowego deficytu handlowego i że trzeba mu dać możność zadośćuczynienia zobowiązaniom swym drogą podwyższenia eksportu".*

I jeszcze dalej:

*„Czy nie musi nas to napełniać goryczą, że Francja toleruje stale, bez wszelkich rekryminacji, bierny bilans handlowy w stosunku do Niemiec, sojusznikowi zaś dyktuje warunki najniekorzystniejsze?"*

Wszystkie te zarzuty i całą tę koronkową argumentację strony czeskiej Francja zbyła zdawkowymi frazesami. Rozgniewało to opinię czeską do tego stopnia, że w rozpoczętej na łamach prasy kampanii strona czeska nie cofa się przed wysuwaniem aluzji nader drażliwych. Oto krótkie resumé tych — jakże wymownych! — wywodów:

*„Czy stanowisko, zajęte przez Francję, odpowiada jej systemowi politycznemu wobec wschodnich jej sojuszników? Zdaje się, że resort polityki zagranicznej nie ma dość wpływu na resort gospodarczy i nie jest w stanie spowodować go do koordynacji. Lecz czy jest to zręcznym odpychać od siebie sojuszników właśnie w okresie, kiedy tyle sił pracuje nad tym, by sojuszników tych rozłączyć z Francją, kiedy propaganda, dysponująca olbrzymimi środkami, stara się pouczyć ich, że przyjaźń Francji nie przynosi im żadnych realnych korzyści i że oparcie o inne mocarstwa otworzyłoby im perspektywy znacznie dogodniejsze? Czy Francja postępuje rozsądnie, dokumentując postępowaniem swym trafność tej tezy?"*

Sytuacja jest poważna: obie strony szukają nowych dróg wyjścia, posługując się narazie półśrodkami. Czy jednak uda się zarówno jednej, jak i drugiej stronie przezwyciężyć wszystkie trudności, jakie się ostatnio na drodze wzajemnych stosunków spiętrzyły?

## O jedność walutową Polski i Gdańska

W związku z toczoną ostatnio na łamach prasy codziennej i periodycznej dyskusji na tematy polsko - gdańskie DZIENNIK POZNAŃSKI (nr. 4. z 6.1) zwrócił uwagę na zagadnienie jedności walutowej Polski i Gdańska, dając w dłuższym artykule ciekawe naświetlenie sprawy, która nie doczekała się realizacji mimo odpowiednich wyraźnych i niedwuznacznych sformułowań traktatowych z tego okresu. Pismo zwraca przede wszystkim uwagę na bezsporny fakt, że

*„nie może być nigdy wątpliwości co do celowości tej unifikacji. Gdańsk jest portem polskiego obszaru celnego, jako port spełnia tylko pewne funkcje w ramach polskiego organizmu gospodarczego. Z polskim życiem gospodarczym jest on zatem związany jak najściślej i to w dziedzinie wymiany dóbr i usług, której przecież głównym narzędziem jest pieniądz".*

Okoliczność ta sprawia, że nikt nie wierzy, by się wogóle mógł ktoś znaleźć, kto by śmiał oczywistość potrzeby i pożytku, wynikającego z powyższego stanu rzeczy polsko - gdańskiej jedności walutowej, zaprzeczyć.

*„Rozumieli to dobrze twórcy Wolnego Miasta, którzy umieścili w Konwencji Paryskiej, rozwijającej szczegółowo ogólne wskazówki Traktatu Wersalskiego, dotyczące Gdańska, następujący artykuł (36): „Polska i W. M. Gdańsk zobowiązują się wzajemnie rozpocząć rokowania, jak tylko okoliczności na to pozwolą, na żądanie jednej lub drugiej strony, w celu unifikacji ich systemów monetarnych".*

Są jednak jeszcze i inne czynniki, które winny oddziaływać na przyśpieszenie realizacji zagadnienia unifikacji walutowej.

*„Po wprowadzeniu przez Polskę ograniczeń dewizowych i kontroli obrotu towarowego odczuwa się bardzo niekorzystnie odrębność walutową Gdańska. Z jednej strony Gdańsk leży w granicach polskiego obszaru celnego, z drugiej zaś strony pod względem dewizowym stanowi zagranicę.*
*Wprowadza to szereg komplikacji i powoduje konieczność odrębnego regulowania stosunków z Gdańskiem i niewątpliwie staje się też przyczyną powstawania realnych kosztów, obciążających eksport".*

Zakładając z góry, że stronie gdańskiej nie przemówią tu do rozumu ani racje gospodarcze, ani polityczne, „Dziennik Poznański" widzi możliwość zrealizowania powyższej sprawy przy pomocy Ligi Narodów. Z chwilą zaś urealnienia się omawianej koncepcji

*„otwierają się duże możliwości działania o poważnym znaczeniu dla Polski, w rezultacie nie ograniczającym się tylko do spraw walutowych".*

Zagadnienie unifikacji walut Polski i Gdańska jest niewątpliwie sprawą, nad którą warto i trzeba specjalnie się zastanowić. Przy braniu jednak pod uwagę rzeczywistości politycznej i specyficznych warunków gdańskich nasuwa się jednak mimo woli pytanie, czy nie jest to jednak zbyt śmiałe i odważne spojrzenie na bardzo zresztą bliskie nam sprawy, albo też zbyt odległa od rzeczywistości koncepcja?

## Jedność polityczna a zgoda narodowa— to nie to samo

Spotykane u nas w ostatnim czasie w dyskusji politycznej terminy „jedność polityczna" i „zgoda narodowa" poddaje lwowski DZIENNIK POLSKI (z 6. 1.) wnikliwej, a skądinąd nawet ciekawej analizie.

*„Psychologia zgody narodowej — powiada to pismo — jest bardzo podobna do nastroju biesiadników, którzy pod koniec uczty, sowicie zakropionej, rozczulają się do bliźnich na jeden wieczór. Jest to takie „kochajmy się", z którego na drugi dzień, po odespaniu, nie wiele prócz niesmaku zostaje.*
*Zgoda, w ten sposób fabrykowana, jest w najlepszym razie chwilo-*

*wym kompromisem i zawieszeniem broni. Może ono czasem być potrzebne i wtedy nie wypływa z oportunizmu, ale zawsze jest tylko paliatywem. Nigdy twórczą siłą życia politycznego".*

Inaczej rzecz przedstawia się, jeśli chodzi o zagadnienie jedności politycznej.

*„Jedność polityczna nie ma w sobie nic z kompromisu, ani oportunizmu, choćby najlepiej pojętego, ani z ugody procesujących się stron. Jedność, to owoc walki i silnej wiary, a nie ducha ustępstw albo nastrojowego „kochajmy się". Jedność, to zwycięstwo jednej ze stron walczących, a nie upadek wyczerpanych walką ludzi, którzy zagubili prawdę wewnętrzną, stracili wiarę w głoszone hasła, albo w możliwość zwycięstwa".*

Zatrzymawszy się dłużej nad modnym ostatnio terminem „konsolidacja narodowa", który uważa za synonim klajstrowania i drukowania potłuczonych garnków partyjnych, w zakończeniu swych wywodów „Dziennik Polski" stwierdza co następuje:

*„Życiu polskiemu trzeba jedności, ale jedności istotnej i głębokiej, która może wyniknąć tylko ze zwycięstwa nowej idei politycznej. Ta idea jest już zawarta w konstytucji kwietniowej i zrealizowana w kształcie prawnym Państwa, który wyprzedził organizację społeczną.*

*Ludzie, wyznający tę ideę, a dotąd rozproszeni, winni się zjednoczyć, zorganizować i wspólnie stanąć do walki z wzbierającą falą rozkładu, klasowości i wsteczności politycznej".*

## Kto lepiej walczy z żydami

Kwestię tę próbuje rozwiązać KURIER POZNAŃSKI (nr. 7 z 6.1) na marginesie poruszonej przez stołeczne „ABC" sprawy bojkotu przez prasę żydowskich biur ogłoszeniowych. Okazuje się, że lepiej z żydami walczy „Kurier Poznański", mimo, że i jemu nieraz przytrafi się gaffa, w której rezultacie znajdzie się na jego łamach ogłoszenie żydowskiej firmy. Te nieliczne wyjątki od reguły trzeba usprawiedliwić — powiada „K. P." — następującymi momentami (jakże wymownie charakteryzującymi „bezkompromisowość" endecką!):

*„Zachodzą oczywiście czasami sytuacje skomplikowane, wyjątkowe, gdy w danej branży nie ma ani jednej krajowej firmy chrześcijańskiej. Zdarzają się też i omyłki ze strony naszego aparatu administracyjnego, który obarczony jest niesłychanie trudnym zadaniem badania olbrzymiej ilości codziennie napływających ogłoszeń pod kątem widzenia, czy dana firma ma charakter żydowski, czy go nie ma".*

Tak tedy obwarowawszy się zastrzeżeniami z kilku stron i zaasekurowawszy się na przyszłość, bo diabeł nie śpi, „Kurier Poznański" przystępuje do wytykania 200-procentowym aryjczykom z „ABC" zakłamania w poruszonej przez nich sprawie bojkotu gospodarczego żydów, pisząc co następuje:

*„Przeciw przyjmowania ogłoszeń firm polskich, otrzymywanych przez prasę za pośrednictwem biur żydowskich, wystąpiło warszawskie „ABC". Uczyniło to niestety w sposób, obliczony raczej na reklamę demagogiczną, niż na poważne zabranie się do bardzo poważnego i skomplikowanego zagadnienia. Uderzanie w ton „bohaterski" przy „rezygnowaniu" z ogłoszeń, których ma się ilość zupełnie znikomą, nikomu nie imponuje, szczególnie jeżeli to samo wydawnictwo w innej dziedzinie, w której jest zainteresowane ze względu na swych czytelników, nie zawahało się torować im drogi do żydów, reklamując dziesiątki kinoteatrów żydowskich w Warszawie, i to nawet na stronach redakcyjnych, choć są w stolicy także teatry świetlne czysto polskie".*

Ciekawe rozmówki w narodzie polskim, prawda?

## Nie zapominać o Polsce B

W aktualnej ostatnio dyskusji na temat inwestycyj zabiera m. in. głos KURIER WILEŃSKI (nr. 7 8.1.), przedstawiając w sposób obiektywny i spokojny potrzeby inwestycyjne ziem wschodnich. W swoich wywodach na ten temat posługuje się „Kurier Wileński" przede wszystkim argumentem, że niedorozwój gospodarczy trzeciej części kraju jest dla Polski zbyt wielkim balastem, od którego może ją uwolnić jedynie stworzenie fundamentów pod rozbudowę gospodarczą województw wschodnich.

Potrzeby inwestycyjne tych obszarów są naprawdę wielkie. Dziennik uważa tu, że program inwestycyjny dla nich winien objąć w pierwszym rzędzie inwestycje o charakterze publicznym, w największym stopniu — inwestycje w dziedzinie komunikacyjnej (sieć kolejowa, drogowa i wodna). W ostatnim wypadku chodzi nie tylko o Wilię i Niemen, lecz także o regulację rzek poleskich,

*„która wchodzi w potężny i całkiem odrębny kompleks zagadnienia melioracji Polesia".*

W dziedzinie rolnictwa wchodzi w rachubę

*„intensywna przebudowa ustroju rolnego, którego wadliwa struktura wpływa w największym stopniu destrukcyjnie na życie gospodarcze ziem wschodnich, a w pierwszym rzędzie komasacja i melioracje wysuwają się na czoło potrzeb inwestycyjnych".*

Na terenie tych ziem może również dobrze rozwijać się przemysł przetwórczy, w oparciu o miejscowe surowce. W dziedzinie przemysłowej chodziłoby o

*„rozbudowę przemysłu gorzelniczego na zasadach spółdzielczych, włókienniczego w oparciu o miejscowe surowce, budowę fabryki celulozy w pobliżu surowcowego ośrodka — puszczy Białowieskiej, wreszcie rozbudowę przemysłu przetwórczego mięsnego, tłuszczowego i t. zw. artykułów drugorzędnych, jak grzyby, jagody, szerść itp."*

Potrąciwszy jeszcze o olbrzymie potrzeby szkolnictwa, „Kurier Wileński" konstatuje raz jeszcze, że

*„społeczeństwo ziem wschodnich domaga się skierowania poczynań inwestycyjnych na jego teren nie dla podniesienia swego dobrobytu kosztem innych dzielnic kraju, lecz dla tego, że kierunek ten nakazuje ma rzeczywistość gospodarcza i dobrze zrozumiany interes narodowy, ściśle związany z dalszym rozwojem Rzeczypospolitej".*

# WŚRÓD KSIĄŻEK

**Henryk de Man, PLAN ODBUDOWY ŚWIATA. Warszawa 1936.**

Książka znanego socjalisty belgijskiego, głośna jest dziś na całym świecie. Man jest reprezentantem nowych prądów w socjaliźmie, tak pod względem doktrynalnym (krytyka marksizmu integralnego), jak i praktycznym. Umie on wyjść z ciasnych ram dotychczasowych form, umie wyciągnąć konsekwencje z nowych doświadczeń; spotyka go za to sporo krytyki, ale i on ze swej strony nie pozostaje dłużnym w odpowiedzi, nie waha się wydać ostrych sądów o dotychczasowej taktyce ruchu socjalistycznego.

De Man jasno stawia sprawę: nie można walczyć z narastaniem faszyzmu ani drogą wykorzystywania rozgrywek wśród partii burżuazyjnych (jak to czyniła socjaldemokracja niemiecka), ani drogą wyłącznego organizowania kontrbojówek. Socjalizm nie może mieć pozycji wyłącznie defensywnej, bronić często przeżytych już form demoliberalizmu; broniąc demokracji, nie może bronić tylko jej dzisiejszej postaci, ale winien ją realizować, ulepszać, walczyć o jej przekształcenie w istotną demokrację.

Walcząc z faszyzmem, socjalizm nie powinien zajmować się tylko zewnętrznymi objawami faszyzmu, ale musi wglądać w ich przyczyny. Musi więc wniknąć w sytuację t. zw. warstw średnich i ich nastawienia antykapitalistycznego, wygrywanego przez faszyzm. Otóż de Man wykazuje, że aczkolwiek teza Marksa o zmniejszaniu się proletariatu skutkiem wzrostu techniki wykazała swoją żywotność, to jednak zaszło zjawisko przez Marksa zupełnie nieprzewidziane, t. j. powstanie nowej warstwy średniej, złożonej z licznej rzeszy pracowników technicznych, biurowych, pośredników itd. Warstwa ta zastąpiła dawne warstwy średnie z czasów Marksa (resztki dawnych drobnych wytwórców), ale posiada cały szereg cech ją z tamtą wiążących. Warstwa ta jest w opozycji do wielkiego kapitału finansowego, natomiast psychicznie związana jest raczej z mieszczaństwem; wszakże te punkty, w których interesy jej zgodne są z interesami proletariatu (opozycja do kapitału monopolowego), winny stanowić podstawę do wspólnej akcji, mającej na celu realizację obopólnego planu gospodarczego. Plan ten przewiduje z jednej strony znacjonalizowanie wielkiego przemysłu monopolowego przy pozostawieniu tych działów gospodarki, gdzie istnieje wolna konkurencja. Tym sposobem obok gospodarki znacjonalizowanej, istniałby dział gospodarki indywidualnej, pod pewną kontrolą państwową; zachowane byłyby przede wszystkim drobne warsztaty, gdzie własność łączy się z pracą.

De Man odpiera zarzuty, jakoby wyłożony program nosił charakter „socjalizmu drobnomieszczańskiego". Socjalizm bynajmniej — wedle de Mana — nie zmierzał nigdy do proletaryzacji wytwórców, do zamienienia ich w jakieś bezduszne pionki w maszynie; socjalizm niszczy tylko kapitał finansowy, popiera natomiast wspólnotę warsztatu z pracą i bynajmniej nie zamierza zniszczyć własności prywatnej.

Plan de Mana, wraz z planem środków gospodarczych, zmierzających do ukrócenia bezrobocia i poprawy gospodarczej, był przyjęty przez belgijską partię robotniczą, i po części był realizowany na niektórych odcinkach przez rząd Van Zeelanda; z drugiej zaś strony wpływ myśli de Mana dał się odczuć i na ugrupowaniach w rodzaju ruchu reksistycznego. Jaki więc będzie dalszy los „planu" nie możemy przewidzieć; ciekawe też będzie obserwowanie wpływu de Mana na partie socjalistyczne w rozmaitych krajach, gdzie jego krytyka dotychczasowego socjalizmu, to budzi entuzjazm, to wywołuje niechęć „ortodoksów" marksistowskich.

Książka de Mana oparta jest na doświadczeniu ze stosunków zachodnio-europejskich. Dla nas, Polaków, brak jest np. podkreślenia stosunku tej nowej warstwy średniej do dawnej, która właśnie w Polsce b. jest rozwinięta (chłopstwo, drobne rzemiosło itd.).

J. R.

SPROSTOWANIE. „W artykule poświęconym wystawie zorganizowanej w sali Dekierta podczas jubileuszowego Zjazdu „Zetu" w listopadzie r. ub. („Echa Zjazdu Zetu" — Naród i Państwo Nr. 46 z r. 1936) opuszczone zostało nazwisko kolegi, któremu wystawa zawdzięczała „gustownie i pomysłowo — jak pisze sprawozdanie — zmontowane ekrany", a właściwie całą swą stronę dekoracyjną. Był nim kol. prof. Józef Kucharski, co tu, gwoli ścisłości, na życzenie podkomisji wystawowej Zjazdu, prostujemy.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Widok 3 m. 33, tel. 609-70. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rachunek 771, lub 2) blankietem nadawczym P. K. O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.

CENY OGŁOSZEŃ: 1 strona 600 zł., 1/2 strony 300 zł., 1/4 strony 160 zł., 1/8 strony 80 zł., 1/16 strony 50 zł. W tekście o 50% drożej.

Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10—11, środy godz. 17—18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10—14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Redaktor odpowiedzialny: Janusz Korzywo

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem